BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

40 tysięcy z papierkami w ręku?
Tadeusz Graba STR. 3

Powrót do początku
Marian Bekajło STR. 5

18 grudnia W. Sokorskiego
Stanisław Jan Królik STR. 8

Rys. A. Stok

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 1 VII 1973 Nr 13 (525) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Realia XX i fantazje XXI wieku

Lublin chce być nowoczesny

Jerzy Dostatni

Może to jest paradoks, ale przede wszystkim to jest prawda: człowiek, tworząc postęp techniczny i stosując go możliwie na najszerszą skalę, jednocześnie musi się energicznie bronić przed tym postępem. Energicznie i kosztownie. Inaczej zostanie przez niego zagłuszony, zatruty albo w inny sposób unicestwiony. Grozi to przede wszystkim mieszkańcom śródmieść — im większe miasto a mniejsze śródmieście, tym niebezpieczeństwo jest większe. Lublin w swoim dzisiejszym kształcie i funkcji nie jest wyjątkiem, i nie będzie, gdy już trapiące współczesność choroby zaczną go atakować wszystkimi epidemiami równocześnie.

To jest chyba zasadniczy punkt wyjścia, który zmusił naszych architektów i urbanistów do generalnej rewizji obowiązującego dotychczas planu zagospodarowania przestrzennego śródmieścia, a właściwie do opracowania prawie zupełnie nowego planu, którego realizacja pozwoli naszym potomkom jakoś przetrwać wiek XXI. Podstawowe założenia tego planu zostały właśnie przedstawione na otwartym zebraniu Towarzystwa Miłośników Lublina, które ostatnio zaczyna wykazywać coraz większą aktywność.

Planów zagospodarowania śródmieścia Lublina mieliśmy już kilka, aby wspomnieć chociażby opracowania inż. Ignacego Kędzierskiego lub inż. Czesława Gawdzika. Gdzieś przed 20 czy 15 laty nowo powstała Miejska Pracownia Urbanistyczna też opracowała swoją wersję, uwzględniającą — wydawało się wtedy — potrzeby leżące gdzieś w dalekiej perspektywie. Ale wkrótce okazało się, że to, co planowano rzekomo bardzo śmiało, w rzeczywistości już hamowało, a częściowo nawet ciągnęło do tyłu rozwój miasta. Jeszcze wykańczany w szczegółach projekt najnowszego planu ma — zdaniem jego twórców — wszelkie dane na to, aby zwycięsko oprzeć się atakom nowoczesności na miasto oraz najbardziej teoretycznym możliwościom, jakie temu miastu przyniesie przyszłość. Jednak ostateczny sąd o nim wyda jeszcze nie następne, a dopiero drugie po nas pokolenie. Ale ponieważ z realizacją do tego czasu czekać nie można, po letnich urlopach Tow. Miłośników Lublina zorganizuje kilka dalszych spotkań już na bardziej szczegółowe tematy, a po wniesieniu ewentualnych poprawek, za kilka miesięcy werdykt będzie musiało wydać Prezydium MRN — albo projekt odrzucając, albo czyniąc z niego obowiązujące wszystkich (nie wyłączając samo siebie) prawo.

Prawdę powiedziawszy, nikt na świecie nie wie, jak prawidłowo zaprojektować zagospodarowanie przestrzenne współczesnego śródmieścia. Urbanistyka nawet w teorii nie rozwiązała tego zagadnienia. Niby najłatwiej byłoby wyburzyć wszystko, co jest na tym obszarze, a potem budować śródmieście od nowa. Ale kto — jeżeli chodzi o miasto chociażby średniej wielkości — wyda taką decyzję, w Polsce lub gdzie indziej? Chyba przed 20 laty władze Londynu podjęły niemal bohaterską decyzję: wyburzając duże kwartały domów, opracowały śmiały plan rozbudowy śródmieścia. Ale już wkrótce okazało się, że najbardziej perspektywicznie patrzący urbaniści nie docenili możliwości rozrostu administracji. Po kilku latach cały projekt pasował do rzeczywistości niczym pajacyk przedszkolaka do wyrośniętego studenta.

W pojęciu tzw. przeciętnego obywatela, śródmieście to przede wszystkim budynki administracji i szeroko pojętych usług. I rzeczywiście. Ale jeżeli tak, to do tych właśnie budynków musi być dogodny dojazd. Jeżeli zaś zachować swobodny dojazd dla wszystkich samochodów i autobusów — to jak je zmieścić na ulicach, których z reguły szybko rozepchać się nie da? Jak uchronić mieszkańców zagęszczonego śródmieścia od przejechania, zatrucia spalinami, wysłania do lokalnych Abramowic wskutek nadmiaru żartowniych decybeli? A jeżeli zamknąć dojazd, to śródmieście po prostu umrze śmiercią naturalną, zaś pozbawione go miasto rozciągnie się — jak to już stało się w wielu aglomeracjach amerykańskich — na dziesiątki kilometrów. Biurokracja, przepraszam — administracja i tak nie umrze wraz ze śródmieściem, tylko także rozciągnie się terytorialnie, co jeszcze zwiększy jej dokuczliwość.

A jak np. będzie wyglądał handel za lat 30 czy 50? Może dzisiejsze sklepy przetrwają w nieco tylko zmienionej formie,

Dokończenie na str. 6—7

WICEMISTRZ

Maciej Podgórski

— A ten kaszmir, z którego ma pani sukienkę, i te buty na wysokim korku, które ma pani na nogach, to w Lublinie kupione?

— W Tomaszowie Lubelskim.

— A ta peruczka platynowa, którą ma pani na głowie?

— Pierwszy raz w życiu widzę dziennikarza, który w ten sposób ze mną rozmawia.

— A ja pierwszy raz widzę kobietę na stanowisku przewodniczącego miejskiej rady, w dodatku kobietę młodą, szykowną i przystojną — odpowiadam nieco bezczelnie. — Więc ta peruczka...

— W Tomaszowie kupiona.

— Jest tu komu?

— W spółdzielczym domu handlowym kupiona.

— I jak się pani czuje na swoim stanowisku w tej peruczce, tym kaszmirze i tych butach?

— Kiedy mnie wybrano, w grudniu 1971 roku, strasznie się bałam tego stanowiska, choć poprzednio sześć lat pracowałam w radach narodowych w Kazimierzu, a następnie przez osiem lat w Tomaszowie byłam radną i członkiem prezydium, pracując zarobkowo w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego. Bałam się, bo w potocznej opinii kobiety jeszcze nie są dobrze widziane na takich stanowiskach. Z początku ludzie mi patrzyli na ręce, kłopoty wielkie miałam, bo zaufania było brak...

— Pani jest rodowitą tomaszowianką?

— Nie, urodziłam się w Kazimierzu. Jestem typową przedstawicielką robotniczego środowiska, w 1950 roku, kiedy kończyłam podstawówkę, umarł mi ojciec, zostałyśmy z matką i młodszą siostrą w ciężkich warunkach. Ze studiami mi nie wyszło, zdawałam w 1955 roku na filologię polską w Poznaniu i potknęłam się na pytaniu, co jakiś zjazd młodzieżowy zmienił w życiu ówczesnej młodzieży, więc dopiero teraz myślę o rozpoczęciu studiów zaocznych, sytuacja tego wymaga i władze mnie cisną.

— Da pani radę, bo i tu nie jest lekko? No i pani, zdaje się, mężatka?

— Tak, wyszłam za mąż w 1961 roku i przyjechałam za mężem do Tomaszowa. Nie wyobrażałam sobie tutaj życia na stałe, a tkwię już tyle lat. I córkę mam jedenastoletnią, ona się będzie domem zajmowała, jak matka zacznie studia.

— Czy taki awans nie komplikuje życia rodzinnego?

— Mąż jest wizytatorem w Wydziale Oświaty i zarabia tyle samo, co ja, to znaczy cztery tysiące, jeśli o to panu chodziło — przewodnicząca uważa tematy osobiste za wyczerpane, bo chce mi zaprezentować miasto, poroz-

Dokończenie na str. 4—5

Tańcuj macha dam ci pieróg...

220 występów, wyjazdy zagraniczne, nawet do Japonii, masa folkloru zaprezentowanego widzom Lubelszczyzny. Tak można określić bilans dwudziestu pięciu lat Zespołu Pieśni i Tańca „Ziemia Lubelska".

Dwadzieścia pięć! Ktokolwiek pamięta wydarzenia kulturalne miasta w ciągu tego czasu, wie, jak znamiennym rysem zaznaczyła się w nich obecność młodzieńczej zgrawności reprezentowanej przez tańczących i śpiewających artystów.

Bywały-chuste i chude lata lubelskiej kultury, nie pamiętamy chudych lat zespołu.

Może dlatego, że od razu miał „dobry trening". Kiedy powstał jako Teatrzyk Młodego Widza zrzeszający dzieci pracowników PWRN, odbywał swoje ćwiczenia w... hallu wojewódzkiego budynku. Nie było pomieszczenia, nie było kostiumów, nie było autokaru, była sama ochota. I ona okazała się najwartościowsza. Jej zawdzięczają „kaniorowcy" cały swój majątek w wyposażeniu technicznym i w artystycznym dorobku. I choć majątek już osiągnięty — ochota nie ustaje. Nic dziwnego. Są młodzi, tworzą zgrany zespół, bo profesjonalno-towarzyska spoistość tej organizacji to też jedna z „historycznych" jej cech, a przede wszystkim — jak tu nie znajdować smaku w zajęciu tak łatwo przecież przeradzającym się w samą radość, w sam ruch, w samozadowolenie. Może by tak poniektórym sfrustrowanym poetom podpowiedzieć, by spróbowali czasem coś niecoś z hopaka, polki podlaskiej, albo kozaka lubelskiego?

A później był rok 1953 i zajęcie pierwszego miejsca na centralnych eliminacjach związków zawodo-

Dokończenie na str. 10

FOT. ŻAF

teatrnn.pl

KULTURA 1973

Literatura

● Nagrody artystyczne Prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży w dziale literatury otrzymali: Anna Świrszczyńska, Alfred Siklarski, Krystyna Siesicka i Janina Broniewska.

● Laureatami VIII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi zostali: Anna Świrszczyńska za „Poezje wybrane" oraz Tadeusz Urgacz za tom „Garbuska". Nagroda za najciekawszy debiut przypadła Bohdanowi Urbankowskiemu za tom „W cieniu", a za eseistykę Bohdanowi Ostromęckiemu („Lirnicy, trubadury i tyrteje").

● W konkursie literackim dla studentów, zorganizowanym przez Radę Uczelnianą SZSP Uniwersytetu Śląskiego oraz redakcję „Poglądów", pierwsze nagrody otrzymali: w dziale utworów wierszowanych — Józef Baran z WSP w Krakowie, w dziale opowiadań — Józef Stryjecki z US, w dziale utworów dramatycznych — Stefan Aleksandrowicz z UMCS za utwór pt. „Na ofiarę". Ponadto Grzegorz Bielicki, student WSI w Lublinie, otrzymał III nagrodę za opowiadanie pt. „Dom bez złudzeń".

● W pierwszą rocznicę powstania, miesięcznik literacki młodych „Nowy Wyraz" ufundował doroczną nagrodę za najlepszy debiut literacki ubiegłego sezonu. Pierwszym laureatem został Adam Zagajewski z Krakowa za tom wierszy „Komunikat".

● Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydawać będzie co roku antologię 50 najlepszych wierszy poetów polskich w minionym roku.

● Henryk Worcell pisze tom wspomnień z okresu przedwojennego, a dotyczący spotkań i przyjaźni z Witkacym, Tuwimem, Makuszyńskim, Gombrowiczem, Kasprowiczową. Czesław Ostankowicz oddał maszynopis książki pt. „Kobiety które odeszły" — zbiór opowiadań o siostrach Czerwonego Krzyża z okresu partyzantki i okresu tuż po wojnie.

● We Francji ukazała się nowa powieść Vercorsa pt. „Spacerowicz i jego powtórzenie". Akcja obraca się wokół człowieka, który się rozdwoił i chodzi o to, która z „połówek" jest autentyczna.

Teatr

● Nagrody artystyczne Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży w dziedzinie teatru otrzymali: Jan Wilkowski oraz teatry lalki i aktora „Marcinek" z Poznania oraz „Miniatura" z Gdańska.

● Kazimierz Opaliński uświetnił swoje 60-lecie pracy artystycznej występem w „Trzy po trzy" Fredry w reżyserii A. Hanuszkiewicza w warszawskim Teatrze Narodowym.

● W Teatrze Ziemi Mazowieckiej odbyła się prapremiera debiutu dramaturgicznego aktora tego teatru, Ireneusza Kocyłaka, którą stanowi sztuka „Kochać bliźniego". Autor opublikował również wiele wierszy.

● Teatr Polskiego Radia nadał w formie słuchowiska sztukę Bena Jonsona „Bartłomiejowy jarmark". Jonson żył w latach 1573—1637 w Anglii, był dramaturgiem, poetą i aktorem, a swoją sławą przyćmiewał nawet Szekspira.

● Dyrektorem Teatru Ziemi Opolskiej został Mariusz Dmochowski, a kierownikiem artystycznym aktor warszawski Józef Pieracki.

● Z udziałem 300 delegatów i obserwatorów z 51 krajów odbył się w Moskwie XV Kongres Międzynarodowego Instytutu Teatralnego, na którym m. in. omawiano sprawę nowego statutu i nowej struktury Teatru Narodów. W wyborach do Komitetu Wykonawczego MIT najwięcej głosów uzyskał ZSRR, następnie Polska — o jeden głos mniej.

● Sensacją artystyczną Moskwy stała się premiera w Teatrze Małym sztuki Aleksego Tołstoja „Car Fiodor Joannowicz" w reżyserii Borysa Rawieńskiego z Igorem Smoktunowskim w roli głównej.

● Przed pięciu laty na jednym ze statków szwedzkich utworzono pływający teatr, dysponujący salą dla 156 widzów. Teatr ten daje spektakle dla mieszkańców małych wysepek w pobliżu Sztokholmu.

Sztuka

● Nagrody artystyczne Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży w dziedzinie plastyki otrzymali: Zbigniew Rychlicki i Adam Kilian.

Kazimierz Karpiński z Łodzi zdobył Grand Prix i złoty medal na IV międzynarodowym biennale sztuki o tematyce sportowej, które odbyło się w Madrycie.

● Przez trzy miesiące, do 9 sierpnia, trwa w Sofii wielka wystawa malarstwa współczesnego krajów socjalistycznych.

● Na wystawie poświęconej zabytkom w Brukseli eksponowano fotogramy zabytków architektonicznych, odbudowanych lub restaurowanych w Polsce. Belgowie podkreślali, że Polska jest tym krajem, który ze szczególną troskliwością dba o zabytki.

● W Amsterdamie w Muzeum Narodowym im. Vincenta van Gogha zorganizowano stałą ekspozycję płócien tego malarza, obejmującą 80 proc. jego spuścizny artystycznej. W jednej sali urządzono atelier, w którym każdy może natychmiast wypróbować swoje możliwości malarskie.

Muzyka

● Nagrody artystyczne Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży w dziale muzyki otrzymali: Jan Fotek, Jerzy Maksymiuk i Jadwiga Mackiewicz.

● W dniach od 4 do 8 lipca odbędzie się w Kołobrzegu Festiwal Piosenki Żołnierskiej z udziałem 24 solistek i solistów oraz 9 zespołów. Na konkurs na piosenkę wojskową nadesłano 266 utworów, z których do wykonania zaproponowano solistom 70, a nagrodzono i wyróżniono 10.

● Poznańskie Tow. Muzyczne im. H. Wieniawskiego wznowiło stałe koncerty popularne, w których występują zarówno zespoły zawodowe i amatorskie, jak również artyści miejscowych placówek muzycznych. Koncerty odbywają się w trzech punktach miasta, na przedmieściach i w centrum.

● Dymitr Szostakowicz otrzymał najwyższą w Danii nagrodę muzyczną im. Sonningena za wkład w rozwój sztuki muzycznej na świecie.

Film

● Nagrody artystyczne Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży w dziedzinie filmu otrzymali: Janusz Nasfeter oraz Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej.

● Grand Prix XXVI Festiwalu Filmowego w Cannes podzielono między obraz amerykański „Strach na wróble" Schatzberga i angielski „Najemnik" Bridgesa, przy czym werdykt co do pierwszego był wygwizdany przez część widowni. Wielką Nagrodę Specjalną otrzymał francuski film „Mama i Iadacznica", a Pierwszą Nagrodę Jury „Sanatorium pod klepsydrą" Wojciecha Hasa według powieści Brunona Schulza.

● W dorocznym plebiscycie czytelników radzieckiego tygodnika „Sowietskij Ekran" miano najlepszego filmu radzieckiego zrealizowanego w roku 1972 zdobył znany i z naszych ekranów film „Tak tu cicho o zmierzchu". Wśród aktorek triumfowała Nonna Mordiukowa, a wśród aktorów — Kiryl Ławrow. Z filmów zagranicznych najbardziej podobał się „Romeo i Julia" produkcji angielsko-włoskiej.

● W Paryżu odbył się przegląd filmów algierskich oraz dyskusja przy okrągłym stole twórców z obu krajów. Film algierski nawiązuje przede wszystkim do okresu walk wyzwoleńczych przeciwko kolonializmowi oraz do obecnych reform społecznych i gospodarczych.

● Marina Vlady, głośna aktorka francuska pochodzenia czeskiego, zaczyna występować z powodzeniem także jako piosenkarka. Jej ojciec był śpiewakiem operowym.

Różne

● W Warszawie na zaproszenie ZG ZLP przebywały dwie delegacje pisarzy zagranicznych, które zapoznawały się z aktualnymi problemami naszego życia literackiego i kulturalnego. Goście reprezentowali Związek Pisarzy Arabskich i Stowarzyszenie Pisarzy Szwedzkich.

● W dniach od 11 do 17 lipca odbędzie się w Połczynie-Zdroju po raz siódmy Festiwal Zespołów Artystycznych Wojska Polskiego. Zespoły wojskowe w ciągu roku dają łącznie około 1500 koncertów dla blisko milionowej widowni.

● Na antenie Polskiego Radia w programie drugim trwa do 17 lipca XI Międzynarodowy Festiwal Słuchowisk Zagranicznych. W każdą środę i niedzielę można wysłuchać najlepsze utwory dramatyczne radiofonii radzieckiej, czeskiej, rumuńskiej, bułgarskiej, węgierskiej, NRD-owskiej i fińskiej.

● W dniach od 5 do 8 lipca w Bukowinie Tatrzańskiej odbędą się już ósme z kolei „Sabalowe bajania", konkurs gawędziarzy oraz gry na rzadkich instrumentach.

● W Związku Radzieckim 14 milionów ludzi różnych zawodów uprawia amatorsko działalność artystyczną. Samych tylko ognisk plastycznych jest 9 tysięcy, z czego połowa na Ukrainie.

● W roku ub. w NRD opublikowano 5102 tytuły książkowe o łącznym nakładzie 119 mln egzemplarzy. Beletrystyka, literaturoznawstwo oraz książki dla dzieci i młodzieży to 1664 tytuły.

● Od 24 sierpnia do 15 września odbędzie się w stolicy NRD międzynarodowa wystawa „Najpiękniejsze książki z całego świata" — impreza ta została przeniesiona do Berlina z Lipska.

Lubliniana

● Zespół „Ikersi" ze Świdnika po wygraniu trzech konkursowych przeglądów wziął udział w festiwalu w Opolu. Ponadto otrzymał on z NRD propozycję opracowania i nagrania kilku melodii łużyckich.

● Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Lublinie przygotowuje 40 przewodników, folderów, plakatów i map o różnych rejonach naszego województwa. Łączny nakład — pół miliona egzemplarzy.

● W dniach 8—9 czerwca w Brześciu odbyły się „Dni Lublina", w dużej części poświęcone prezentacji naszego dorobku kulturalno-artystycznego. Występowały m. in. zespół „Gracja" oraz zespół ZDK przy FSC.

● W Muzeum im. J. Czechowicza odbyło się spotkanie, na którym dr Krzysztof Dmitruk wygłosił prelekcję pt. „Od Lucifera do Reflektora", a to z okazji 50-lecia ukazania się pierwszego numeru „Reflektora".

● Zespół Tańca Ludowego UMCS otrzymał od Towarzystwa „Polonia" medal i dyplom za osiągnięcia w rozwijaniu i popularyzacji polskiej kultury poza granicami kraju.

● Studium Dramaturgii Współczesnej, dające spektakle w klubach LSM i MPiK oraz w MDK w Lublinie, wystawiło w bieżącym sezonie sztuki M. Bułhakowa, Al. Wampiłowa, L. Zorina, L. Anagnostakisa, P. Landowsky'ego, Calderona w adaptacji Al. Rymkiewicza i ostatnio H. Pintera „Dawne czasy".

Marina Vlady — Fot. A. Gerinas

Świat w którym żyjemy

JEDEN ROZWÓD NA OSIEM MAŁŻEŃSTW

W Stanach Zjednoczonych — pisze „THE NATION" — wskaźnik rozwodów wynosi 13 proc. — to znaczy jeden rozwód przypada na osiem istniejących małżeństw. Naturalnie wielu rozwiedzionych zawiera nowe małżeństwa: tylko 3—4 proc. rozwiedzionych żyje dalej samotnie.

Liczba — a zatem i wskaźnik — rozwodów wzrasta zawsze wtedy, gdy jakiś stan liberalizuje ustawodawstwo dotyczące tej dziedziny, co nie oznacza jednak wcale, że zwiększa się także liczba nieudanych małżeństw. Przykład: gdy w 1971 r. w New Yersey wprowadzono w życie łagodniejsze przepisy, liczba rozwodów w ciągu roku prawie się podwoiła. Jednakże zalegalizowano wówczas sytuację rodzinną małżeństw, które żyły w separacji od 10 i więcej lat i do owej pory nie mogły uzyskać rozwodu z powodu „zbytniej surowości" starych przepisów. Również w Kalifornii zanotowano podobne zjawisko. Po uchwaleniu ustawy zezwalającej na rozwiązanie związku małżeńskiego w przypadku „nieodwracalnego rozkładu pożycia" liczba pozwów wniesionych do sądów zwiększyła się gwałtownie. Jednak spadła liczba rozwodów w Newadzie, która od dawna słynęła z łatwości, z jaką można tam było uzyskać rozwiązanie węzła małżeńskiego. Po prostu pary, które dawniej musiały po rozwód jeździć do Newady, teraz mogły go otrzymać w miejscu zamieszkania.

Kluczem reformy ustawodawstwa rozwodowego, która ogarnia powoli całe Stany Zjednoczone, jest rezygnacja z koncepcji winy. Związek małżeński nie istnieje praktycznie jeżeli mąż i żona nie mogą dłużej żyć ze sobą i nie ma potrzeby ustalać z czyjej winy to nastąpiło, gdyż prawdopodobnie z winy obojga. Prawdopodobnie także w ogóle nie powinni się oni pobierać.

ZAPLEŚNIAŁE MUZEUM

Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu jest najbogatszym i najcenniejszym zbiorem tego typu na świecie. A mimo to — z braku odpowiednich funduszów — zgromadzone w nim eksponaty: owoc blisko dwóch wieków cierpliwych badań zżerane jest przez pleśń i mole. „PARIS MATCH" tak pisze na ten temat:

29 lipca 1889 r. prezydent Fallieres, wówczas minister oświaty publicznej, dokonał inauguracji muzeum — najlepszej kolekcji tego typu na świecie. Wystawiono tu 1 150 000 okazów zwierząt w całej ich okazałości. Program był ambitny. Nie chodziło o zapewnienie jeszcze jednego miejsca spacerów dla dzieci i ich niańek, ale o przekazanie nauce nowego miejsca badań. W 70 lat później ekologia i badania nad fauną i florą opierają się w znacznej części na tym laboratorium oddanym obecnie na łup insektów i słoty.

...Sytuację pogarsza błąd architektoniczny. Szklane dachy, pomyślane po to, by lepiej oświetlały ekspozycje, są trudno dostępne. Konserwacja i mycie ich grozi niebezpieczeństwem i tym samym pozostały ostatecznie zaniedbane. Po kilku latach zaczynają przeciekać. Mimo licznych ostrzeżeń, zniszczenia przybierają stopniowo katastrofalne rozmiary. W końcu 1966 r. wyjątkowo szybkie topnienie śniegu zamienia główną galerię w sztuczne jezioro. Woda leje się strumieniami na podłogi i eksponaty, spływa po ścianach, dostaje się do gablot. Muzeum trzeba zamknąć.

Dyrektor laboratorium etnograficzno-botanicznego ironizuje: „Lepiej by było, gdybyśmy nie nazywali się „muzeum", bo może zwrócono by na nas większą uwagę". Ktoś pewnie mówi: „Przecież tu muzeum, a więc miejsce konserwacji. Będzie stało wiecznie. A tymczasem my jesteśmy silnym ośrodkiem badawczym: 25 laboratoriów, 1 500 naukowców..."

W niekończących się wąskich korytarzach laboratorium etnograficzno-botanicznego walają się bez ładu i składu rysunki, książki, próbki, gałęzie sosny, szyszki świerkowe... ponieważ z braku archiwisty na odszukanie jakichkolwiek dokumentów potrzeba całych godzin... „Męczymy się bez sprzątaczki, maszynistki, pomocy technicznej. 30 proc. naszego czasu tracimy na prace papierkowe i pomocnicze..."

SEKS I PIENIĄDZ

Francuski tygodnik „L'EXPRESS" pisze o zamiarze pewnego zachodnioniemieckiego przedsiębiorcy, który chciałby zalegalizować prostytucję i rozwinąć ją w byznes ogarniający całą Europę.

Kurt Kohls, założyciel pierwszej przemysłowej sieci domów publicznych, przygotowuje się do ataku na Europę. Dla Kohlsa prostytucja jest, tak samo jak stal, czy samochody, rynkiem towarowym, który trzeba zdobyć. Pierwsze cztery domy publiczne tej nowej wielonarodowej spółki powstały w NRF. Trzy dalsze lokują się w Austrii. Do końca br. Kohls zamierza wejść również na rynek Beneluxu.

Ze swą posturą boksera, w żakiecie z białym krawatem, Kohls wygląda nieco groteskowo. Ale pozory mylą. Ten 45-letni mężczyzna jest człowiekiem, który liczy się w świecie interesów. Kiedy w 1967 r. odkupił od pewnej rentierki swój pierwszy dom publiczny, widział z miejsca, jak wykorzystać ten obiekt. Odnowił go, zmodernizował i nazwał „Małym Paryżem". Przedsięwzięcie przyniosło wysokie zyski. Zachęcony tym sukcesem, Kohls postanowił rozszerzyć działalność. Uciekł się do oszczędności prywatnych, aby zdobyć sumę 20 mln marek, potrzebną do budowy i zagospodarowania domów publicznych. Oprocentowanie wkładów jest bardzo wysokie: co najmniej 12 proc. rocznie.

W przeciwieństwie do tradycyjnego schematu, domy publiczne Kohlsa mają charakter hoteli. Pensjonariuszki — w wieku 18—30 lat — mogą w nich wynajmować pokoje lub apartamenty za cenę 50—100 marek dziennie. Opuszczają pokoje, kiedy chcą, dysponują swym czasem bez żadnych ograniczeń. Ze spółką zawierają kontrakt, który w każdej chwili może być rozwiązany. W kontrakcie ustala się tylko cenę pokoju i ewent. posiłków spożywanych na miejscu. Każdego wieczoru pensjonariuszki mogą deponować swe zarobki, szacowane średnio na 9 tys. marek miesięcznie, w specjalnej skrytce, z której przekazuje się je nazajutrz do banku.

Kohls ujawnił, że 80 proc. pensjonariuszek to młode matki!

NIEBEZPIECZNA NOC W METRZE

Jest wieczór — pisze „PARIS MATCH". — Zbliża się północ. Stacja paryskiej kolei podziemnej Chatelet. Starsze małżeństwo zbliża się do jasno oświetlonych schodów ruchomych. Wejście tarasuje trzech wyrostków. Nic nie robią, śmieją się tylko znacząco. Dwoje starszych ludzi rezygnuje i zawraca. Nadchodzi młoda kobieta. Jeden z trzech chłopców zbliża się do niej. W ręku ma nóż. „10 franków dla mnie, damulko..." Zastraszona kobieta szybko wyciąga banknot z torebki i ucieka co sił w nogach w ciemną czeluść korytarza podziemnego.

...Od kilku miesięcy coś się zmieniło w paryskim metrze. W długich korytarzach kolejki podziemnej pojawiła się nowa fala przestępców. Nie ma dnia, by kilku pasażerów nie zostało okradzionych przez bandy wyrostków. Mają zazwyczaj po 16—19 lat. Ich ofiarami są najczęściej samotni podróżni, a głównym terenem łowów — stacje metra o długich korytarzach, łączących poszczególne perony.

Nową falę gangsterstwa określa się, jako „gangsterstwo piątej kategorii", którą gardzi „prawdziwy" świat przestępczy. Policja paryska uważa, że ta nowa forma rabunku ma krótki żywot. Ale...

W metrze „pracuje" około 30 muzykantów i około 50 żebraków. Są oni „popierani", chronieni przez „twardych" — prawdziwych kryminalistów. Prawo żebrania w metrze kosztuje od 10 do 40 tys. franków. Jeden żebrak w metrze zarabia przeciętnie po 70 franków na godzinę. Jedna osoba na 30—40 daje się wziąć na lep litości. Jeśli żebrak lub uliczny śpiewak nie chce się podporządkować prawu świata przestępczego — to natychmiast zostają wysłani specjalni „goryle", którzy biją i łamią ręce lub nogi opornych i ich instrumenty, a także odbierają zezwolenie na „pracę" w metrze. Poza wykupieniem miejsca żebracy płacą też określony procent od „zarobków". Jeżeli zapomną — metoda jest prosta: pieniądze im się po prostu odbiera. Jeden raz wystarcza...

Poza żebrakami w metrze działają prostytutki. Nie spacerują po peronach, ale jeżdżą w tę i z powrotem, czekając aż osamotniony klient zgodzi się na ich usługi. Podobnie jak żebracy muszą one oddawać część swych zysków „opiekunom".

W ciągu czterech godzin, w których pasażerowie nie korzystają z metra, dzieje się tam niemało: wtedy właśnie okradane są automaty. Przeciętnie raz w miesiącu okradana jest przed świtem kasa, zawierająca niewielką rezerwę na następny ranek, czasami ofiarami „mini—napadów" padają pracownicy, zatrudnieni przy okienkach kasowych...

Czy trzeba, aby z zapadnięciem zmroku paryżanie wyrzekali się pójścia do kina, teatru czy restauracji? — kończy pismo swoje rozważania.

Za Bugiem

INSTYTUT Nauk Społecznych Akademii Nauk USRR we Lwowie dzieli się na kilka wydziałów: Filozofii, Badań socjologicznych, Historii, Archeologii, Literatury ukraińskiej oraz Językoznawstwa. Konkretne osiągnięcia pracowników Instytutu poszczególnych dziedzin wiedzy znane są nauce w postaci prac zbiorowych i indywidualnych.

W Wydziale Językoznawstwa w zasadzie pracuje się zbiorowo, gdyż wykonanie zadań indywidualnie dziś już nie jest możliwe. Do takich prac zbiorowych należą: słownik polsko-ukraiński, atlas gwar zachodnioukraińskich i słownik języka staroukraińskiego.

W latach 1958—1960 przygotowano tu do druku i wydano trzytomowy „Słownik polsko-ukraiński", największy z dotychczasowych, mieszczący w sobie ok. 100 tysięcy haseł. Cały nakład został szybko wyczerpany, widocznie 3 000 egzemplarzy było za mało na potrzeby Ukrainy i Polski. Największy więc czas żeby przygotować nowy nakład i pracownicy Instytutu Nauk Społecznych mają to na uwadze.

Atlas języka ukraińskiego opracbywany jest w Kijowie i Lwowie. We Lwowie przygotowano już do druku drugi tom, obejmujący teren zachodnioukraiński. Tom ten będzie bardzo potrzebny nie tylko ukrainistom, ale także dialektologii polskiej, gwary zachodnioukraińskie bowiem kontaktowały się często z językiem i gwarami polskimi, co pozostawiło w nich trwały ślad. Atlas ten przedstawi również interesujące dane, świadczące o kontaktach gwar ukraińskich z białoruskimi, słowackimi, węgierskimi, rumuńskimi, wskaże na pewne wewnętrzne tendencje rozwojowe, zjawiska peryferyczne i archaiczne. Tak więc na pojawienie się drugiego tomu „Atlasu gwarowego" dialektologia słowiańska oczekuje z dużym zainteresowaniem.

Trzecią wielką pracą zespołową Wydziału Językoznawstwa tegoż Instytutu jest „Słownik języka staroukraińskiego XIV — XV wieku". Taki słownik potrzebny jest od dawna dla nauki slawistycznej. Jest on nie bez znaczenia również dla historii stosunków językowych polsko-ukraińskich w przeszłości. Jego wydanie będzie dużym wydarzeniem w slawistyce. Jak poinformowała prof. L. Humecka w „Materiałach Zwitnoji Naukowoji Sesiji Instytutu Suspilnych Nauk AN URSR 1971 roku" (s. 111) — pierwszy tom słownika języka staroukraińskiego XIV — XV wieku zakończono w roku bieżącym.

Pracownicy wspomnianego Wydziału zajmowali się i zajmują także opracowywaniem pewnych mniejszych terenów gwarowych, np. gwarami rejonu Podbuskiego (D. Bandriwski), rejonu Brzuchowieckiego (P. Prystupa), problemami historii języka ukraińskiego (A. Gesiorski, L. Humecka, U. Jedlińska, I. Kernycki, M. Chudasz), problemami współczesnego języka ukraińskiego, jak: substantywizacja (D. Hryneczyszyn), imiesłowy (L. Koć), analiza językowa bajek I. Franki (J. Zakrewska), stylistyka (W. Karpowa) i innymi sprawami, ważnymi dla językoznawstwa.

Pracownicy wspomnianego Instytutu wydali ponad 200 różnych rozpraw i artykułów językoznawczych.

W latach 1959—1964 Wydział Językoznawstwa we Lwowie wydawał seryjny zbiorek naukowy (6 tomów) pt. „Doslidżenna i materiały z ukrajinśkoji mowy". Stały się owe tomy poważnym wkładem do nauki filologicznej na Ukrainie, cenione są i wykorzystywane przez slawistów w świecie. Szkoda, że wydawanie „Doslidżeń" nie jest kontynuowane.

W roku 1970 wydano w Instytucie pracę zbiorową na temat historii języka ukraińskiego. Ponadto pracownicy jego włączeni są do szeregu innych przedsięwzięć.

M. L.

REZERWY NA DŁONI

40 tysięcy z papierkami w ręku?

Tadeusz Graba

NAJSTARSI ludzie w Borysowie w powiecie puławskim nie pamiętali tak dorodnego zboża, jakie w 1971 roku wyrosło na poletkach doświadczalnych Jana Krawczaka. A jak nie pamiętali, to nie wierzyli, aby normalnymi sposobami, uświęconymi gospodarską tradycją, można było taki zielony „las" wyhodować. Więc niepokoił się Krawczak, bo opinię publiczną cenił, znał jej siłę, którą niejeden odszczepieniec wioskowy odczuł na własnej skórze. Wezwał zatem na świadka Kozaka, doświadczonego gospodarza, cieszącego się sporym autorytetem w Borysowie, wezwał go, aby na własne oczy zobaczył, jakie toto wyrosło. Tak i Kozak zobaczył, pokręcił z niedowierzaniem głową, coś tam zanotował. Po raz drugi pojawił się u Krawczaka podczas kośby: wspólnie zapisali liczbę snopków i mendli, rozstawionych na poletkach, aby przy młócce zweryfikować cały interes. Wymłócili w końcu, zważyli: „dańkowskie złote" dało 48 kwintali, „chrobre" — 43, a „puławskie" — około 40 kwintali z hektara. Nie było rady, świadek musiał uwierzyć, co nie znaczy, że cała wieś uwierzyła, a jeśli nawet ten i ów pogodził się z faktem, to przecież nie obeszło się bez lamentacji fiskalnej natury.

— Jasiu, co ty wyrabiasz?! — sąsiad przybiegł do Krawczaka na wieść o niewiarygodnym plonie. — Jak zobaczą to twoje żyto, to wszystkim podniosą podatki, bo niby jak ty możesz tyle zbierać, to my też, znaczy się!

Podatków, rzecz jasna, nie podniesiono, a Krawczak dalej uprawia żyto (i ziemniaki) na poletkach doświadczalnych, aczkolwiek niechętnie informuje o osiągniętych wynikach. Co najwyżej powie, że na hektar rozrzuca 350 kg nawozów mineralnych, bo ziemia tu licha, przede wszystkim w V i VI klasie. W tej swojej powściągliwości nie jest zresztą odosobniony, niemal wszyscy racjonalnie gospodarujący rolnicy, głównie starsi, którzy osiągają nieprzeciętne wyniki produkcyjne, jak mogą tak unikają rozgłosu, wprost proszą służbę rolną, aby na zebraniach czy kursach gminnych nie wymieniano ich nazwisk. Widać nie jest dobrze być lepszym.

Mimo wszystko przybywa gospodarstw tzw. wdrożeniowych, w tej chwili w każdej gminie województwa lubelskiego istnieje jedno, rośnie też liczba gospodarstw przykładowych (3200). Te pierwsze dysponują większym potencjałem produkcyjnym i wprowadzają uprawy nowych odmian roślin (i zwierząt) na całym obszarze użytków rolnych, rezygnując z demonstracji na poletkach 5—15-arowych. Problem transmisji efektów badań naukowych do praktyki rolniczej nie został zresztą jeszcze zamknięty w ostatecznej formule. Obecnie trwa właśnie reorganizacja obowiązującego do niedawna systemu, upowszechnianie postępu w rolnictwie zdaje się nabierać właściwego rozmachu. Może brzmi to niewiarygodnie, jako że mamy w kraju sporo instytutów naukowych i organizacji zajmujących się tymi sprawami od lat, lecz prawdą jest, że dopiero po roku 1968 rzecz cała nabrała rozmiarów proporcjonalnych do potrzeb współczesnego rolnictwa, które w naszych warunkach jeśli nie jest, to m u s i zyskać profil gospodarki towarowej. Osiągnięcie tego celu w poważnym stopniu zależy od skuteczności i szybkości wprowadzania na wieś wyników badań naukowych, od podniesienia ogólnej kultury pracy i życia rolników. Zagadnienia te leżą w polu działania Rolniczych Rejonowych Zakładów Doświadczalnych.

Lubelski, kierowany przez inż. Jana Siewierskiego, znajduje się w Końskowoli. Istnieje 18 lat i ma do swej dyspozycji 140 pracowników inżynieryjno-technicznych, w tym 90 z wyższym wykształceniem oraz 800 ha, które służą do adaptacji wyników badań naukowych, przesyłanych przez odpowiednie instytuty, częściowo — tzw. doświadczeniom ścisłym. „Wyniki badań" to nic innego, jak nowe odmiany i gatunki roślin i zwierząt, które po sprawdzeniu i przystosowaniu do warunków lubelskich, właśnie w Końskowoli, kierowane są przez Oddział Upowszechniania RRZD do gospodarstw wdrożeniowych i przykładowych, po prostu do praktyki rolniczej. Warto naszkicować sytuację kadrową tego oddziału, kierowanego przez mgr. inż. Józefa Stefańskiego, albowiem ilustruje ona stan zrozumienia dla kwestii postępu w rolnictwie: aktualny i „wczorajszy".

Do roku 1968 upowszechnianiem nowości agro- i zootechnicznych zajmował się Terenowy Ośrodek Informacji Naukowej, Technicznej i Ekonomicznej RRZD, liczący raptem 3 osoby, obsługujące c a ł e województwo.

— Najczęściej stosowaną wówczas metodą pozyskania władzy i służby rolnej w gromadach dla idei nowoczesności w rolnictwie była... prośba — przypomina mgr inż. rolnik Zbigniew Pałys, posiadający także wyższe wykształcenie pedagogiczne.

Obecny oddział skupia 44 inspektorów powiatowych w prezydiach powiatowych rad narodowych, 7 zakładowych inspektorów doradztwa specjalistycznego oraz 12-osobowy zespół inżynieryjno-techniczny, związany z lubelską siedzibą oddziału. Najbardziej bezpośredni kontakt z rolnikami utrzymują inspektorzy powiatowi, opiekujący się gospodarstwami wdrożeniowymi i szkolący gminną służbę rolną. Prawdę mówiąc, robią oni wszystko, wielu z nich — z konieczności — stało się specami od budownictwa inwentarskiego, jako że wydziały architektury nie posiadają odpowiednich projektów, wymagania rolników przewyższają jakość aktualnych ofert. Wiadomo przy tym, że inne województwa — poznańskie, krakowskie — jakoś znalazły rozwiązanie tego problemu.

To właśnie pracy inspektorów powiatowych należy przypisać przełamanie nieufności, z jaką do niedawna spotykała się służba rolna ze strony właścicieli gospodarstw. Mimo wszystkich kłopotów natury socjo-psychologicznej, Jan Krawczak stwierdza jednoznacznie, że związek z Końskowolą przynosi mu spore profity.

— Ja tu nie mam nic do stracenia, nasiona otrzymuję darmo, a pod koniec roku jeszcze parę groszy nagrody wpadnie, jako rekompensata za ewentualne straty w ziemniakach, sadzonych po wiosennym poplonie. Tak, jeśli widzę, że innowacje okazują się korzystne, stosuję je w łanie.

W tej chwili Krawczak, pod nadzorem mgr. inż. Augustyńskiego, kończy wznoszenie nowej obory z cegły silikatowej. Hoduje około 30 świń. Posiada dom z trzema obszernymi pokojami (lecz sypia w kuchni wraz z żoną) oraz łazienką wyłożoną białymi płytkami glazury. Kupuje hydrofor, bo pompa zasilająca dom i budynki inwentarskie w wodę zepsuła się właśnie. Doprowadził „siłę". Gospodarzy tylko z żoną, która wróciła niedawno ze szpitala i przez najbliższe pół roku nie wolno jej ciężej pracować. Starszy syn ożenił się i mieszka w Puławach, młodszy za rok skończy Technikum Ogrodnicze w Kluczkowicach (mieszkając w internacie) i obiecuje wrócić na gospodarkę, choć sad zaniedbany. Z Końskowolą współpracuje od 1969 roku, co pewien czas odwiedzany przez dwóch agrotechników, zootechnika i starszego inspektora doradztwa specjalistycznego do spraw budownictwa. Ma zamiar wybudować kotłownię: dotychczas centralne ogrzewanie zasilał w ciepło piec kuchenny.

Upowszechnianiem wiedzy rolniczej RRZD zajmuje się w ścisłym kontakcie z wydziałami rolnictwa i leśnictwa rad narodowych. Obok demonstracji i pokazów nowych upraw, obok różnego rodzaju konkursów obejmujących gospodarstwa wdrożeniowe i przykładowe, szeroko rozwinięto na Lubelszczyźnie szkolenie rolnicze. Realizowane jest ono w kilku postaciach: kursów ogólnorolniczych z dwuletnim programem nauczania, kilkudniowych szkoleń doraźnych, prelekcji specjalistycznych, zespołów przysposobienia rolniczego, kursów dla potrzeb kółek rolniczych i innych jednostek państwowych i spółdzielczych. RRZD prowadzi także seminaria podnoszące kwalifikacje zawodowe prelegentów niektórych szkoleń, przygotował skrypt ujmujący wszystkie podstawowe zagadnienia produkcji rolnej i zwierzęcej. Obecnie Oddział Upowszechniania opracowuje nową koncepcję pozaszkolnej oświaty rolniczej, mając na uwadze m. in. życiową konieczność uzyskania przez rolników tytułów kwalifikacyjnych, umożliwiających — zgodnie z ustawą z 1967 roku — prawo do nabycia lub dziedziczenia ziemi.

O rozmachu szkolenia ogólnorolniczego, które do niedawna było najpopularniejszą formą poszerzania wiedzy, może świadczyć fakt, że w latach 1964—1973 niemal 140 tys. rolników otrzymało świadectwo ukończenia różnych kursów — po zdaniu egzaminów potwierdzających zdobycie p o d s t a w o w y c h wiadomości w zakresie prowadzenia gospodarstwa.

A jednak, jak istniały, tak nadal istnieją kłopoty z frekwencją na kursach wszystkich typów. Bywa, że na zajęcia przychodzi 2—5 słuchaczy, bywa, że sala świeci pustką i zakłopotaniem wykładowcy. Szczególną niechęć do podnoszenia kwalifikacji wykazują posiadacze gospodarstw zaniedbanych ekonomicznie, podupadłych. Kto wie, czy nie odstręczają też lokale, w których odbywają się prelekcje: remizy i świetlice, pozbawione nie tylko ogrzewania, ale nawet elementarnych sprzętów. Notuje się trudności z filmami oświatowymi: jest ich stanowczo za mało, a przestarzałe kopie pozostawiają sporo do życzenia pod względem jakości obrazu i aktualności informacyjnej. Tymczasem w Lublinie odbywają się Festiwale Filmów Rolniczych! Zresztą brak filmów tego typu odczuwa się we wszystkich województwach, aczkolwiek praktyka wykazuje, że są to środki najbardziej skuteczne pod względem dydaktycznym, w pewnym stopniu gwarantujące odpowiednią liczebność audytorium.

Dłuższe szkolenia odbywają się w okresie zimowym, co stwarza kolejne problemy, tym razem komunikacyjne. Bywa, że wykładowcy nie mogą opuścić miejscowości, jako że autobusy PKS skończyły kursowanie, a o złapaniu „okazji", gdy trafiło się na pobocze głównych traktów, można co najwyżej pomarzyć. Tylko Bełżyce rozwiązały sensownie tę sprawę, zobowiązując — bez uruchomienia autorytetu władzy się nie obeszło — poszczególne instytucje do sukcesywnej obsługi transportowej wykładowców w terenie.

— Każdy powiat powinien zabezpieczyć środki lokomocji różnych instytucji dla przewożenia prelegentów oraz projektorów filmowych, plansz i rzutników, pomocnych w trakcie zajęć — sugeruje mgr J. Stefański. I ma całkowitą rację, bo inne rozwiązanie nie wchodzi w rachubę.

Najlepsze rezultaty dydaktyczne oraz — można tak to określić — propagandowe przynosi szkolenie prowadzone przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej na najniższym, wiejskim szczeblu upowszechniania oświaty rolniczej. Dysponując środkami finansowymi na honoraria, TWP może sobie pozwolić na angażowanie wykładowców z Akademii Rolniczej, a także spośród kadry inżynierskiej Lublina. Instruktorzy gminni spełniają funkcje prelegenckie w ramach swoich obowiązków służbowych, zatem „bezpłatnie". Zdarza się więc, że zespoły hospitujące szkolenia — w ich skład wchodzą pracownicy wydziałów rolnictwa powiatowych rad narodowych i RRZD — spotykają się z przypadkami zupełnego nieprzygotowania owych krzewicieli wiedzy do prowadzenia konkretnych zajęć. To poważny problem, a tymczasem do egzaminów kwalifikacyjnych w okresie 1973/74 przystąpi, jak się szacuje, około 40 000 rolników spełniających elementarne wymagania, wyszczególnione we wspomnianej ustawie o prawie do dziedziczenia i kupna ziemi: ukończone 7 klas szkoły podstawowej plus 4 lata praktyki rolniczej. Wśród tej liczby znajdują się 4 tysiące młodych ludzi w wieku powyżej 18 lat, którzy nie uczęszczali dotychczas na żadne szkolenia, faktycznie więc nie mają żadnego prawa do ziemi, do prowadzenia gospodarstwa. Liczebność tej grupy wskazuje na istnienie całkiem odrębnego problemu społecznego, który w przyszłości, jeśli nie doczeka się rozwiązania, może zrodzić sporo różnorakich kłopotów.

Oczywiście, nadrzędnym celem upowszechniania nowoczesnej wiedzy rolniczej jest wzrost produkcji roślinnej i zwierzęcej, przestawienie naszego rolnictwa na gospodarkę towarową, a wiadoma ustawa pełni rolę ostrej zachęty do zwiększania kwalifikacji.

— Podstawą sukcesów w rolnictwie jest człowiek, jego wiedza i skłonności do korzystania z doświadczeń nauki — zauważa mgr inż. Łucja Witkowska, która od pięciu lat pracuje w służbie instruktorskiej Oddziału Upowszechniania RRZD.

A jeśli nie ma tej wiedzy i takich skłonności — pozwólmy sobie na taką uwagę — powinien zmienić miejsce pracy, ponieważ wyniki ekonomiczne nie są już prywatną sprawą posiadacza gospodarstwa. Tak, to wszystko prawda, łatwo tak powiedzieć, ale czy nie lepiej będzie, jeśli zastanowimy się nad uruchomieniem wszelkich możliwych środków, które faktycznie pozwolą administracji rolnej i komórkom RRZD na rzetelne sfinalizowanie programu kursów kwalifikacyjnych — dla owych 40 tysięcy?! Wymienione h a m u l c e szkolenia wydają się bowiem na tyle silne, że pośrednio i w praktyce mogą co nieco sfatygować realną moc ustawy z 1967 roku. A nie jest przecież dobrze, kiedy życie sobie, a prawo sobie.

PRYWATNA INICJATYWA POETYCKA

BYŁO to pięćdziesiąt lat temu. U progu odzyskanej niepodległości, z niecierpliwością właściwą wiekowi młodzieńczemu, grupka lubelskich zapaleńców postanowiła zdobyć się na rzecz osobliwą: wydawać literackie pismo. Osobliwość polegała na tym, że przyszli redaktorzy nie mieli pieniędzy, wystartowali więc do imprezy, której koleje mogły się potoczyć nieprzewidzianymi wybojami. Przeciwwskazaniem inicjatywy były dodatkowo losy dwu poprzednich tytułów — „Młodzież" i „Lucifer" — które powołane do życia zakończyły je w kolebce. Ani jedno ani drugie nie pomogło: wyszedł „Reflektor".

Jak wspomina o tym autor „Mostu nad czasem", Konrad Bielski, akuszerem pisma stał się Wacław Gralewski, ojcem chrzestnym Kazimierz Andrzej Jaworski. Pierwszy zabiegał o finanse i montował jaki taki aparat administracyjny, drugi zaproponował nazwę, która się od razu przyjęła. Ale niewielka była grupa ludzi zajętych redaktorsko przy piśmie. Dwaj pierwsi, wymienieni wyżej, plus Czesław Bobrowski, Stanisław Grędziński i Józef Czechowicz. Można jeszcze dorzucić nazwiska więcej niż współpracowników, bo przyjaciół takich, jak wymieniony już KAJ, Tadeusz Bocheński, czy Karol Husarski. To był trzon tej nigdy nie ustanowionej organizacji, grono ludzi, z których każdy musiał wykazywać sporo wasnej inicjatywy, by pismo w ogóle mogło wychodzić.

Niewiele go zresztą wyszło: cztery numery. Ale fakt ten posiada znaczenie dwojakie. Primo — należy tu mówić nie o samym piśmie, które postawione w obliczu trudności finansowych nie mogło znaleźć odpowiedniej bazy, ale należy mówić o grupie poetyckiej pod tą nazwą, czyli o szeregu przedsięwzięć nie objętych drukiem, a ważnych dla atmosfery literackiej ówczesnego Lublina. Secundo — wyłącznie z nazwą tej grupy i tego pisma związane jest nazwisko Józefa Czechowicza z jego okresu debiutanckiego, więc przyczynek do historii poezji polskiej ostatniej doby znajduje się na lubelskim bruku. Takim właśnie „Reflektorem" się szczycimy i takie jego znaczenie z jubileuszowych okazji wyprowadzamy.

Czy był awangardowy? Jest to określenie i wymienionego autora wspomnień i wszystkich, którzy na ten temat uprawnieni są do zabrania głosu. Wszelako należy je rozumieć we właściwy sposób. Na jego łamach nie czytało się poezji o stylistyce, metaforyce i składni krakowskiej „Zwrotnicy". Nie była to awangarda w sensie formy. Była to awangarda jako nowy ferment literacki, chęć zmiany problemów i kątów patrzenia, a nawet tu i tam skłonność do obrazoburstwa. Czytamy np. w artykule wstępnym pierwszego numeru: „Przekreślamy spuściznę duchową Słowackiego. Zjadaczy chleba w mordę bić, jeśli ich w aniołów przerobić nie można". Mocno powiedziane. Coś z ochoty do epatowania również znajdowało się w atmosferze tamtejszego grona przyjaciół, którzy temperament swej młodości wprzęgli w dzieło ożywienia życia literackiego.

Zresztą nie była to impreza wyłącznie wydawnicza. „Reflektor" — poza tytułem czterech numerów nieregularnie zresztą wychodzącego czasopisma — to również hasło wywoławcze dla pewnego okresu naszego życia, kiedy się trochę po filomacku przeżywało pragnienia prawdy i sławy, przyjemności i miłości. To była sprawa towarzyska, zespołowa, dopingująca. Niestety, główni aktorzy tego przedstawienia odeszli już na zawsze za kulisy. Można się jeszcze doliczyć dwóch, trzech, którzy brali w tym udział i których świadectwo liczyć się może za cenny przekaz autentyku. Ale ci, ale my, którzyśmy zachowali smak czasu przeszłego, którzy w zaułkach lubelskich słyszymy jeszcze klekot dorożki, a w przymkniętych oczach mamy zarys wieży ciśnień na dzisiejszym Placu Wolności, chętnie wracamy myślą do tych wczesnych lat dwudziestych, jakbyśmy sami je kiedyś tworzyli. Mają swój klimat, swoją legendę i swoją anegdotę.

Nie wiemy, co by było, gdyby inicjatywa z „Reflektorem" nie wygasła tak prędko, ale istnieją podstawy do przypuszczenia, że pismo odegrałoby swą rolę literackiej trybuny Lubelszczyzny, szczególnie w warunkach doszlusowania młodego pokolenia, na które wprawdzie należało trochę poczekać. Faktem jest, że ze śmiercią pisma na długo zamilkli jego twórcy, a Czechowicz, nie widząc dla siebie pola do działania, przeniósł się do Warszawy. Więcej szczęścia miała chełmska „Kamena", która raz wyszedłszy wychodziła systematycznie, co widać jeszcze na przykładzie dnia dzisiejszego.

W każdym razie — w naszej tradycji literackiej mamy ten ważny i honorowy epizod. Przechowujemy go w serdecznej pamięci, zawsze chętnie przeglądając, kiedy się na to nadarza okazja. Co właśnie obecnie się stało.

(z)

Strona okładkowa „Reflektora"

I co dalej w Kraśniku?

Mirosław Derecki

ZANIM zabrzmiały fanfary znanych i uznanych festiwali w Opolu, Kołobrzegu i Sopocie, w Kraśniku otwarto tegoroczny polski „sezon piosenkarski" V Festiwalem Pieśni Partyzanckiej, trwającym od 8 do 10 czerwca.

Tu nie trzeba wyjaśnień
Nic nie trzeba tłumaczyć
To wystarczy zobaczyć i już...
I już zaraz wiadomo
Że Festiwal, że Kraśnik
Co z tą pieśnią na zawsze się zrósł...

Słowa piosenki śpiewanej podczas koncertu laureatów przy ogromnym aplauzie kilkutysięcznej widowni przez solistkę amatorskiego zespołu z Ostrowca Świętokrzyskiego napisał dwa dni wcześniej Czesław Kałkusiński, autor słynnej „Jędrusiowej doli". Owa historyczna już piosenka, powstała w partyzanckim oddziale wędrującym lasami Kielecczyzny, stała się trzydzieści lat temu swojego rodzaju „partyzanckim przebojem" i po dziś dzień cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Jej autor, „niewyszkolony strzelec „Czechura", też funkcji, stopnia i odznaczeń" — jak pisze o sobie w jednym z wierszy — w cywilu zaś nauczyciel z Radomska, uczestniczy w każdym kraśnickim festiwalu jako gość honorowy.

Istotnie, jak mówi piosenka, festiwal w Kraśniku wyrobił sobie już stałą pozycję w kalendarium wydarzeń kulturalnych w Polsce, ale też teraz, kiedy okrzepł, kiedy można sobie pozwolić na niestosowanie taryfy ulgowej wobec wyrastającego z powijaków lubelskiego beniaminka, należy chyba serio zastanowić się nad jego przyszłością. W organizmie festiwalu zaczynają się bowiem rysować skazy, które mogą doprowadzić do zwichnięcia tej pięknej i pożytecznej imprezy.

Festiwal Pieśni Partyzanckiej jest dla mnie jak dotąd, przede wszystkim przykładem wspaniałego społecznego zrywu, masowego zaangażowania miejscowej ludności, która na apel kilku kraśnickich działaczy kulturalnych odpowiedziała wybudowaniem w rekordowo krótkim czasie pięknego amfiteatru, jakiego może Kraśnikowi pozazdrościć niejedno miasto wojewódzkie, dla której każdy kolejny festiwal jest miejscowym świętem i która podczas koncertów zapełnia trzytysięczną widownię do ostatniego miejsca. Koszt budowy amfiteatru wyniósł ponad trzy miliony złotych, ale większość prac wykonano w czynie społecznym. Kraśnik potrafił również wykazać, że umie się zdobyć na doskonałą organizację festiwalowej machiny — zadbać o miejsca noclegowe dla setek przyjezdnych, o dobrą informację, o porządek w mieście i amfiteatrze.

Pięć lat temu festiwal startował jako impreza o charakterze powiatowym, koncerty odbywały się w niewielkiej, mieszczącej trzysta osób sali Powiatowego Domu Kultury, wstęp na koncerty był wolny. Dzisiaj pieczę nad festiwalem sprawuje Ministerstwo Kultury i Sztuki, Urząd do spraw Kombatantów, CRZZ, Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego, Polskie Radio i Telewizja oraz Zarząd Główny ZBoWiD, wstęp na koncerty jest płatny i mimo że bilety wcale nie są tanie, na koncert laureatów — 40 zł, karnet na wszystkie imprezy — 100 zł, organizatorzy nie narzekają na pustki w kasach. Festiwal stał się imprezą ogólnopolską. W bieżącym roku zjechały tutaj amatorskie zespoły z 15 województw, razem 1200 wykonawców. Wystąpiły 23 chóry, 20 zespołów wokalnych, 17 instrumentalno-wokalnych, 30 solistów. Kierownictwo artystyczne festiwalu spoczywało w rękach Andrzeja Pacyny z Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, kierownictwo muzyczne sprawował pułkownik Kazimierz Kardynał, scenografia była dziełem Małgorzaty Komar-Spychalskiej, na czele jedenastoosobowego jury stał rektor PWSM we Wrocławiu, doc. dr Jerzy Zabłocki. Pierwsze miejsce w kategorii chórów zajął Chór Akademicki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w kategoriach zespołów wokalnych, wokalno-instrumentalnych i solistów — pierwszych miejsc nie przyznano, co — jak oświadczył przewodniczący jury — było nie tyle wynikiem niskiego poziomu wykonawców, ile

Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

zawyżenia kryteriów oceny i niestosowania taryfy ulgowej „dla zachęty".

Nie jest rzeczą niniejszego artykułu podawanie pełnej listy nagrodzonych i wyróżnionych — to zrobiła zaraz po zakończeniu festiwalu prasa codzienna. Natomiast warto i trzeba — jak się już wyżej rzekło — zastanowić się z perspektywy czasu nad przyszłością tego festiwalu.

Festiwal ma na celu popularyzację epopei walk partyzanckich wyrażonych w pieśniach i piosenkach narodu polskiego oraz narodów innych krajów. Ma on ponadto spełniać następujące zadania: inspirowanie poszukiwań repertuarowych, stworzenie okazji do wymiany doświadczeń instruktorów muzycznych pracujących w amatorskim ruchu oraz muzyków i piosenkarzy, i wreszcie — pogłębienie artystyczno-ideowych treści pracy zespołów amatorskich. Jest więc impreza kraśnicka festiwalem bardzo specyficznym, odbiegającym swoim charakterem od większości innych polskich festiwali piosenki.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że — może bezwiednie — organizatorzy zasugerowali się wzorami wypracowanymi przez Opole, Kołobrzeg czy Sopot. Tam, najważniejszy jest efekt końcowy — wynik pracy i umiejętności autora tekstu, kompozytora i wykonawcy, podany w sposób jak najbardziej efektowny, wsparty jeszcze przez błyskotliwych konferansjerów. Tutaj, w ruchu amatorskim, a przecież festiwal kraśnicki jest właśnie przeglądem pracy amatorów, nie sięgających po sławę i pieniądze, najważniejsze są sprawy poznawcze, zarówno w odniesieniu do samych wykonawców jak i oglądającej ich produkcje publiczności. Mówią o tym przytoczone powyżej założenia festiwalu. Tylko że niewiele z nich zostało wprowadzonych w czyn. Ogromna liczba uczestników, o pięćdziesiąt procent za duża, kierowała cały wysiłek organizatorów na wtłoczenie wszystkich tych chórów, tercetów, kwartetów i solistów w szczupłe, trzydniowe ramy festiwalu, we wtłoczenie ich w jakim takim porządku — na estradę. Zdenerwowani konferansjerzy ledwie zdołali zapowiedzieć nazwę zespołu i tytuły piosenek, które miały być wykonywane. Dzięki pójściu na masowość i zaniżeniu w województwach i powiatach kryteriów eliminacyjnych, przy zespołach bardzo dobrych występowały zespoły o żenująco niskim poziomie. Oczywiście koncert laureatów wypada zawsze efektownie, bo biorą w nim udział sami najlepsi i to może dać przybyłemu na „końcówkę" sprawozdawcy asumpt do wysnuwania hurra-wniosków, ale rzeczywistość poprzedzających finał koncertów-przeglądów jest diametralnie inna.

Nie było na tym festiwalu czasu ani na „stworzenie atmosfery do wymiany doświadczeń", ani na pogłębienie „artystyczno-ideowych treści". Nie było też ani miejsca ani czasu na zdobycie przez dorosłych i młodzież zapełniającą widownię jakichkolwiek bliższych wiadomości o prezentowanych piosenkach partyzanckich: kto je napisał, w jakich okolicach i okolicznościach powstały, przez jakie oddziały i w jakim okresie okupacji były śpiewane. Jechałem na ten festiwal z nadzieją, że trafię na swoiste sympozjum poświęcone piosence partyzanckiej, że dowiem się czegoś więcej niż z partyzanckiego „long-play'a", że spotkam się z twórcami i byłymi partyzantami, że w przerwie między koncertami wysłucham interesującej prelekcji, że zostanie mi przedstawione żniwo pracy osób penetrujących teren w celu dokonania zapisów idących w zapomnienie piosenek. Bo tak właśnie wyobrażam sobie charakter kraśnickiego festiwalu, jeżeli nie ma się on stać wkrótce imprezą uwiędłą w kwiecie rozwoju. Ile bowiem razy jeszcze publiczność będzie w stanie wysłuchiwać tych samych pieśni wykonywanych przez tych samych wykonawców? A przewijające się tu i ówdzie próby tworzenia piosenek partyzanckich przez współczesnych twórców też mijają się z celem.

Wydaje mi się, że festiwal w Kraśniku powinien być podsumowaniem całorocznej — lub dwuletniej — pracy domów kultury nad przygotowaniem swojego rodzaju „sesji naukowej" poświęconej twórczości partyzanckiej, której oprawę artystyczną stanowiłby przegląd najlepszych zespołów amatorskich. Zrozumiałe, że sam Kraśnik nie zdoła wywiązać się z tak szeroko pojętego zadania, że powinien mu pomóc czy to Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie, czy też któraś z instytucji centralnych, odpowiedzialnych za krzewienie kultury. Na razie z prawdziwą przyjemnością wysłuchałem i obejrzałem właściwie tylko imprezy towarzyszące występy doskonałych zespołów chóralnych i tanecznych z Brześcia i z Łucka.

WTEDY, gdy go poznałem, kończył właśnie czterdzieści lat i był już po dwóch zawałach. Pamiętam ten dzień pełen chmur i deszczu, a właściwie koniec tego dnia. Wysiadłem na stacji Nałęczów z warszawskiego pociągu, padało i dmuchał zimny wiatr. Dralowałem na piechotę do pałacu Małachowskich, gdzie miałem zamówiony nocleg. Była wiosna roku 1969 ale jeszcze tchnienie zimy zerwało się jakby do ostatniego uderzenia, biały śnieg pokrył park i wąwozy. Eugeniusz A. siedział w fotelu i wstał, żeby mnie przywitać. Dlaczego to wtedy zrobił, nie wiedziałem, ale potem powiedział mi, że wziął mnie za lekarza, niemniej zachował dla mnie jakąś nutę sympatii i dlatego opowiedział o tamtych przeżyciach.

Fabularny początek nie stanowi jeszcze niczego, mogliśmy się więcej nie spotkać, nie rozmawiać, ale na drugi dzień zaprowadził mnie do starego gmachu sanatorium, pokazał salę reanimacyjną i powiedział, że leżał tutaj trzy dni.

Teraz znowu wyznaczył mi spotkanie w Nałęczowie, ożenił się po raz drugi i wyjeżdża do Kołobrzegu. Przed tym wyjazdem, przed nowym życiem odpoczywał jeszcze przez trzy tygodnie w uzdrowisku. Nielaskawy wrzesień tego roku przypomina tamtą zimną wiosnę, ale Eugeniusz mówi, że jest mądrzejszy o te cztery lata. Nie wspomniałem o jego słabym sercu, o rozwodzie, który je osłabił, o przeżyciach, które dobrze znałem. Szliśmy chodnikiem Alei Lipowej i przypomniał mi się spacer tym samym szlakiem jak wędrowałem tędy z Jackiem Woszczerowiczem, który snuł swe świetne opowieści o teatrze, o swoim wojennym pobycie w Grodnie, o rolach, przygodach i młodości. Wtedy to właśnie Eugeniusz powiedział:

— Lubię wracać do początku, to życie, które mam teraz, jest jakby drugie, rozumiesz, drugi brzeg rzeki. I może teraz zrozumiesz, dlaczego chciałem z tobą zobaczyć się tutaj, gdzie zacząłem się po raz drugi. Wprawdzie jest to życie inne, czasem mam dni trwożne, przepełnione myślą, że to gdzieś przyjdzie koniec, innego znów dnia jestem z siebie dumny. Oto pokonałem na jakiś czas śmierć, już minęło lat pięć, a ja wciąż jestem i działam.

Słucham tych słów, teraz już się nie krępuję, rozmawiam z nim otwarcie i szczerze. Kieliszek koniaku, który wypija w kawiarni w pałacu, podobno pomaga mu w krążeniu; na śniadanie je biały ser bez chleba, tylko z surową cebulą, do tego jajko z wydrążonym żółtkiem, słaba herbata bez cukru.

— Tutaj, w Nałęczowie, jest mi najlepiej. Spaceruję nad jeziorkiem, głęboko oddycham, czuję, że żyję — powiada. — Dlaczego czasem — dodaje z namaszczeniem — takie rzeczy wypisują z okazji Nałęczowa, że marnieje, że idzie na psy? Początkowo nie było pieniędzy na kurort, ale ludzie, którzy tu są, przyjmują kuracjuszy, stawiają ich na nogi, wracają, jak mnie, życiu. W naszych socjalistycznych warunkach, w naszym sięganiu do tradycji i kultury tysiącletniej, te ćwierć wieku Nałęczowa jest tylko drobną chwilą. Ale przecież był tu stale jakiś lekarz, teraz jest ich wielu i jedynie przez parę lat istniał kompletny zastój. Myśleliśmy wtedy o wielkich budowlach, byliśmy młodsi, niedoświadczeni...

Rozumiem jego intencje, wielki przemysł dominował, ale przecież Lublin myślał jakoś o Nałęczowie, coś zawsze tu kapnęło żeby zapewnić trwanie. Teraz o tym uzdrowisku mówi się pełnym głosem, a czasem nawet się przesadza z

WICEMISTRZ

Dokończenie ze str. 1

mawiać o mieście, a wpierw jeszcze pokazać się u I sekretarza KP PZPR, Mikołaja Styczkiewicza.

Przeto idziemy do... szpitala, bo sekretarz akurat chory — jak się dowiaduję — na zadawnione zatoki. Władzę polityczną powiatu tomaszowskiego spotykamy wprawdzie w pokoiku szpitalnym, ale sekretarz już ubrany w garnitur i szykuje się do wyjścia, bo właśnie nakazał sobie przestać chorować. Przewodnicząca wręcza mu bukiet goździków, które poprzedniego dnia w Warszawie otrzymała od Jana Szydlaka wraz z gratulacjami dla miasta Tomaszowa za zajęcie drugiego miejsca w ogólnopolskim konkursie MISTRZ GOSPODARNOŚCI 1972.

Ulubionym słówkiem Anny Żymirskiej, przewodniczącej Prezydium MRN w Tomaszowie Lubelskim, jest wyraz — sukcesywnie. Sukcesywnie to, sukcesywnie tamto. „W konkursie nie liczy się miasto kwietników, miasto róż, tylko miasto rozkopane, rozryte, świadczące o tym, że tu się coś robi sukcesywnie" — powiada przewodnicząca. I Tomaszów jest takim miastem, widać, że tam się coś robi, że sporo się zrobiło, ale też sporo trzeba będzie jeszcze zrobić.

Oto w centrum nowo zbudowane rondo, obok przeszklony dwupiętrowy budynek spółdzielczego domu handlowego, którego parter zajmuje czołowa w mieście, niedawno zmodernizowana restauracja „Kosmos", serwująca między innymi kotlet po zamojsku, coś o smaku litewskich kołdunów a wyglądzie „dewolaja". Kiedy tak oglądamy tę urbanistyczno - gastronomiczno - handlową chlubę Tomaszowa, przewodnicząca dodaje: „Produkcja własna w gastronomii tomaszowskiej została wykonana z nadwyżką 700 tysięcy złotych za zeszły rok, nie sztuka handlować tylko alkoholem, ale sztuka coś własnego i smacznego dać konsumentowi".

Krzepiącą atmosferę mąci nieco fakt, że niemal w sąsiedztwie domu handlowego stoi obskurnawy budyneczek hotelu miejskiego o 18 łóżkach, ciasnota absolutna i brak wygód. „Budowa nowego hotelu to jest postulat mieszkańców o bardzo długiej brodzie, powstał kilka lat po wyzwoleniu i do tej pory nie został zrealizowany, a nasze władze komunalne powiadają, że na nowy hotel dla Tomaszowa jeszcze za wcześnie i żebyśmy sobie tę sprawę na razie wybili z głowy, podczas gdy mieszkańcy nie chcą tego absolutnie rozumieć, a goście odwiedzający Tomaszów tym bardziej" — punktuje przewodnicząca.

I to nie jedyny kontrast w tym mieście. Naprzeciwko zmodernizowanego, o nowoczesnym wystroju sklepu mięsnego mieści się sfatygowany dworek, podobno 130-letni i podobno nadal zabytkowy, choć wielokrotnie odnawiany i restaurowany. To jest siedziba... Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. „Dokąd wam myszy i szczury będą tańczyć po biurkach?" — pyta społeczność tomaszowska przewodniczącą. „To chyba najgorsza siedziba miejskiej rady w Polsce — powiada przewodnicząca. — Konserwator wojewódzki wydał decyzję przeniesienia budynku do Kazimierza, na budowę nowego obiektu mieliśmy sami wygospodarować środki, ale teraz oczy moje zwracają się ku owym trzem milionom złotych, jakie otrzymaliśmy tytułem nagrody w konkursie..."

Sporo jeszcze ruder drewnianych w Tomaszowie. I oni burzą te rudery. Sukcesywnie — bo jakże by inaczej. W zeszłym roku zburzyli czternaście takich, carów pamiętających „zabytków". W miejscu jednego z nich już się buduje zakład produkcyjny Spółdzielni Inwalidów „Tomspin", który ulży poważnie w kwestii zatrudnienia kobiet, dotąd — jak to się mówi — napiętej. Więc buduje się ten obiekt ku radości płci słabszej. Głównie ma to być krawiectwo — produkcja i usługi.

W ogóle usługi w Tomaszowie nie są świadczone w warunkach najlepszych. Lokale wynajęte w prywatnych kwaterach, porozrzucane po mieście. — Jakie tu macie perspektywy? — pytam.

— Spółdzielczość pracy, która generalnie prowadzi usługi w mieście, nie postawiła sobie jeszcze jakiegoś pomnika usługowego z prawdziwego zdarzenia, dlatego teraz oczy moje zwracają się ku owym dwu milionom złotych, któreśmy dodatkowo zdobyli w konkursie, a otrzymaliśmy z centralnego pionu spółdzielczości pracy. Chcemy te pieniądze przeznaczyć na budowę pawilonu usługowego i na krótko przed pana przybyciem zadecydowaliśmy, gdzie on stanie — słyszę odpowiedź.

— Krótka sprawa: zaopatrzenie?

— Ona nie jest taka krótka, ale mówić trzeba o jednej rzeczy ważnej, o nowych asortymentach, wprowadzonych zeszłego roku. Do niedawna nie było w mieście pełnego mleka. To znaczy było do kupienia u prywatnych gospodarzy, których w Tomaszowie mamy około pięciuset. Albo takie niby drobiazgi: wprowadziliśmy bułki wrocławskie, chleb Grahama. Ruszyła zamrażalnia w „Tomasovii" i są mrożonki owocowe na rynku. Z wędlin wprowadziliśmy salceson wiejski, był tylko czarny i podrobowy. Obroty w handlu wyniosły o 38 mln zł więcej niż było planowane.

— Handlujecie głównie w centrum, jak widzę?

— Głównie tak, ale w tym roku zbudujemy trzy sklepy spożywcze w dzielnicach domków jednorodzinnych.

— Czym się dojeżdża do tych dzielnic?

— To jest trochę okrężne rozwiązanie. Zawarliśmy umowę z PKS i ich tabor służy do komunikacji miejskiej, za co w sumie społeczeństwo jest bardzo wdzięczne.

— Ile kosztuje bilet?

— Dwa złote.

— Dwa złote skądkolwiek dokądkolwiek w obrębie Tomaszowa?

— Tak.

Generalnie rzecz biorąc, w Tomaszowie mieszka się albo w domku jednorodzinnym, albo w osiedlu, częściowo wznoszonym z funduszów miejskiej rady, częściowo zaś spółdzielczym. A ponadto mieszka się jeszcze, niestety, w barakach koszarowych, które stoją obok przedwojennej ujeżdżalni sztabowej, gdzie teraz z kolei mieści się Powiatowy Ośrodek Kultury Fizycznej, czekający generalnego remontu i modernizacji, co ma się już zacząć w roku przyszłym. „W ubiegłym roku przekazaliśmy do dyspozycji 95 mieszkań i to jest skok duży, jeśli wziąć pod uwagę, że średnio oddawało się u nas 45 mieszkań, na dwa lata" — pociesza mnie przewodnicząca.

Generalnie rzecz biorąc, latem w Tomaszowie odpoczywa się nad kąpieliskiem w Łaszczówce. 18 ha lustra wody, dwa tysiące ludzi tu leży w sezonie. Trochę to jest zagospodarowane, ale potrzeba by było wodę spuścić i dno odmulić.

— Mamy kłopot z dostaniem spychacza na roboty przy kąpielisku — stwierdza jeden z gospodarzy obiektu.

— A ja mam kłopot ze spychaczem na uporządkowanie osiedla mieszkaniowego — odpowiada przewodnicząca.

— A ja bym zburzył te cztery drewniane kibelki, które mają służyć jako rozbieralnia. Bo kontrastują z przyzwoitym pawilonem gastronomiczno-handlowym — wtrącam swoje trzy grosze dziennikarskie.

— Będą zburzone i będzie nowa rozbieralnia jeszcze w tym roku — otrzymuję ripostę.

Kamena str 4

POWRÓT DO POCZĄTKU

Marian Bekajło

Nałęczów. Pałac Małachowskich.

Fot. J. Urban

uroska, krzyczy z powodu jednego wyciętego drzewa czy że zlokalizowanego domu. Kiedy tu wrócił na stałe śmiecie doktor Wacław Szczepiński, to jednak miał co robić, kiedy młoda doktor Zofia Janik przybyła w roku 1936 też została na stałe i potem objęła funkcję dyrektora sanatorium. Są takie miejsca w kraju, których przekreślić się nie da, do nich należy Nałęczów.

W swym pamiętniku Żeromski mówi o tym, jak to trzeba się w Polskę zanurzyć, żeby czuć życie naprawdę. Jest w tym kraju umiłowanie, i natchnienie, i radość. Grzebiąc w przeszłości tego kurortu, znalazłem ludzi pełnych pasji, przejętych myślą dobrej roboty, mają oni swoje koncepcje, swój program. Trzeba im tylko pomóc, posłuchać ich głosów. Wyrastają te głosy z gleby, na której rodziło się wiele mądrych inicjatyw. Czy grób Waldemara Babinicza jest smutkiem czy nadzieją? Na małych cmentarzach nigdzie nie jest daleko, ale przecież obok Babinicza leżą i Andriolli, i Nowicki, i Chmielewski, i Lasocki, ludzie, którzy dla kraju chcieli jak najlepiej i pokazywali to swym życiem, swoim czynem. Zawsze ktoś umierał i ktoś się rodził, ważne jest, jakie było życie tych umarłych; żywe przykłady poświęceń i ofiarności, czy dźwięk pusty, hucba i udawanie.

Byłem wczoraj na długim spacerze w Wąwolnicy, oglądałem dom Piotra Łuki, dwa lata temu spotkałem go na Starówce w Warszawie, gdzie mieszka ten stary murarz, rozmawialiśmy o Żeromskim.

— Żeromskiego to ja znałem jeszcze wcześniej, pewnie dlatego zwrócił się do mnie, bym mu postawił grobowiec dla Adasia — powiedział Łuka.

— Jak go pan pamięta?

— Pamiętam go z brodą, ale Adama pamiętam niewiele, chyba raz cwałował na jakimś koniku. Żeromski, wie pan, tak był przyjemny, tak umiał z ludźmi mówić po polsku! Mógł go pan raz widzieć i od razu go pan pokochał. Przyciągający człowiek. Po śmierci Adasia miałem budować tę kaplicę. Poszliśmy na dół, no i Żeromski między tymi dwoma modrzewiami szukał środka okręgu. Krokami, proszę pana, od jednego do drugiego drzewa żeśmy przeszli. Przyniosłem kawałek kółka. Żeromski powiedział: — „Tu, panie Łuka, będzie środek grobowca dla mego syna". W tym dziewiętnastym roku zaczęliśmy to budować. I tam jest, tak na wprost drzwi, zamurowana trumna Adasia, a po lewej stronie i po prawej jeszcze jest miejsce na dwie trumny: na matkę Adasia i ojca. Żeromski mówił: „Kiedyś mnie pan tu zamuruje, panie Łuka". — Niech pan żyje jak najdłużej dla oświaty ludu polskiego.

Słynne zdanie, powtarzane już przed wojną, jak część legendy, a człowiek, do którego pisarz mówił te słowa, w lat pięćdziesiąt po tym zdarzeniu żyje i można to z jego ust usłyszeć. Mimo burz, które przeszły nad krajem. W tym właśnie, sądzę, kryje się siła Nałęczowa, mogliśmy o nim zapomnieć, ale nigdy nie mogliśmy go zniszczyć. Tragiczne słowa, jakie się słyszy z tej okazji, na pewno nie zaszkodzą sprawie, ale dajmy sprawiedliwość faktom: Nałęczów bronił się sam z garstką swoich maniaków.

W małym domku doktora Wacława Szczepińskiego na stokach Armatniej Góry słucham opowieści o jego tutaj początkach, o śmierci doktora Chmielewskiego, o tym, że nigdy nie brał honorarium, nosił długą brodę i wszystkim mówił po imieniu.

— Przychodzi do Chmielewskiego książę Drucki-Lubecki i trwożnie pyta go o swoje zdrowie. Doktor poklepał małego księcia po plecach i mówi: „Nie martw się, nic ci nie będzie, duszko!" Książę zaczerwieniał, ale pochylił się i poszedł do parku. Tam spotyka pielęgniarza i w krzyk: „Jak to, klepie mnie i na ty mi mówi?" „Doktor do każdego mówi ty — usłyszał w odpowiedzi — ale za to nie bierze pieniędzy i dba o pacjentów naprawdę". Kiedy doktor Chmielewski umierał, kazał sprowadzić pod balkon domu zdrojowego orkiestrę dętą, którą założył, i grali mu Marsyliankę. I tak patrząc na zachodzące słońce w dźwiękach hymnu Francuzów wyzionął ducha.

Krzaczaste brwi starego doktora, kiedy mi o tym opowiada, marszczą się jakoś dziwnie, mam wrażenie, że w kącie oka czai się łza wzruszenia.

Doktor Szczepiński wraca tutaj już w czasie okupacji niemieckim transportem, był to transport naszych lekarzy — oficerów z Rumunii. Długo stał na rampie ten transport w Oświęcimiu, ale w końcu ruszył do Generalnej Guberni. Doktor okupację spędził w Nałęczowie, pod koniec już ukrywał się, działał przecież w konspiracji. Po wojnie pojechał na Ziemie Odzyskane, ale gdy tylko doszły go wieści o reaktywowaniu uzdrowiska, rzucił wszystko w Jeleniej Górze i wrócił tutaj. Mógł być w Nałęczowie jeden nieudany dyrektor czy drugi, ale tradycji i pasji tworzenia nie zabili marnotrawcy i parweniusze.

Prawdziwa rzetelna praca oparła się wszystkim nieprzemyślanym efemerydom. Nasze polskie wartości przetrwały czas próby. Doktor Zofia Janik-Strobel opowiadała mi że kiedy wychodziła ze swego pokoju w pierwszych latach, zostawiała palące się światło, pacjenci nie czuli wówczas niepokoju, byli pewni, że ich lekarz jest tuż i czuwa nad ich zdrowiem. Tak młoda lekarka trafiła do swoich podopiecznych, zdobywała ich zaufanie i sympatię, teraz dr Janik-Strobel weszła już w poczet nałęczowskich tradycji. Na naszych oczach staje się historia. Więc tych powrotów do początku może być więcej, nie jest to tylko powrót Eugeniusza A., któremu w pokoju reanimacyjnym wrócono życie. Może to być powrót dra Wacława Szczepińskiego — jego życie całe tutaj. Zaczynał od tego, że jechał platformą z parą potężnych perszeronów do Zdroju, teraz jeździ autokarem z Warszawy. W tym opisie, w tym szukaniu związków zmierzam do jakiejś jedności celów; dla wszystkich tych ludzi nie jest Nałęczów pustym brzmieniem, miejscem na mapie, jest żywą treścią, kawałkiem ich życia, ich działania, albo miejscem, gdzie wracają im utracone siły i zdrowie. Nie tak dawno jeszcze licząc miarę naszego postępu, naszych osiągnięć, mówiliśmy tylko o tonach węgla, tysiącach samochodów, nowych cementowniach, budowie puławskich Azotów. Teraz już wydoroślieliśmy, patrzymy szerzej. A może patrzmy jeszcze szerzej?

Stoją w Nałęczowie gmachy szkół artystycznych, uczą się w nich młodzi ludzie, te szkoły można przenieść gdzie indziej, szkoły łatwo przerobić na sanatoria, ta sama liczba kuracjuszy zamiast uczniów może przyjeżdżać na kolejne turnusy. I jeżeli dla przykładu z Zamku w Krasiczynie wykwaterowuje się technikum leśne, bo obiekt będzie hotelem i zabytkiem, to samo można zrobić ze szkołami Nałęczowa, równie dobrze mogą być one w Lubartowie, Kraśniku, czy Zamościu.

Głos pisarzy wołających w trosce o Nałęczów może był i na czasie, ale zastanówmy się, czy rzeczywiście jest aż tak źle, czy nie zrobiono tu sporo, czy tamte lata były zupełnie bezowocne? Sumując tego typu pytanie można od razu pokazać niejedno. Odbudowany nakładem wielu milionów złotych pałac Małachowskich służy ludziom, powoli rozbudowuje się wodociąg, które choć na razie tylko służą kurortowi, jednak istnieją, zrobiono skromną drogę objazdową, ale jednak ona istnieje, ograniczono zabudowę centrum. Wszystko to działo się w tak zwanym okresie nieżaskawym dla takich inicjatyw. Odnowiono ochronę, o której powstanie troszczył się Stefan Żeromski, dba Stefan Butrym o „Chatę Żeromskiego", którą co roku odwiedzają tysiące turystów.

Mówił do mnie dziennikarz szwajcarski, któremu pokazywałem Nałęczów:

— Polacy są dziwnym narodem. Jesteście jeszcze biedni, a jednak odbudowujecie pałace. Przecież takie rzeczy kosztują miliony! Dodam nawet, że odbudowujecie zabytki poświęcone swoim ciemiężycielom, widziałem odbudowany po pożarze Zamek w Malborku, a przecież to była siedziba waszego odwiecznego wroga. Wy w ogóle nie macie kompleksów. Dla was liczy się to wszystko, co posiada rangę sztuki i zabytku.

Miło mi było słuchać tych słów na alejkach zdrojowego parku, piliśmy wodę ze zdroju Celińskiego i mówiłem gościowi o pokrętnych losach naszej dziewiętnastowiecznej historii. Wtedy, gdy oni szli na służbę do gwardii papieskiej, my walczyliśmy w Hiszpanii, wtedy, gdy nasz rodak Patek zakładał w Szwajcarii firmę robiącą zegarki, nie było nas na mapie Europy. A potem gębę otworzył ze zdumienia, kiedy oglądał zbiory pani Eweliny Bartosiewicz, wszystko chciał kupić i niczego mu nie sprzedano, bo zbieracze tego nie robią.

— Was trzeba poznać — wołał — jakże was trzeba poznać!

Uśmiechałem się pod nosem, patrzyłem na zdobne srebra, zastawy pani Eweliny i myślałem o tym, że wtedy, gdy wy ganialiście po przełęczach owce, myśmy budowali Wawel renesansowy.

...Siedzę teraz jesienią 72 z Eugeniuszem, którego wrócono życiu, o czym pozwolił mi napisać, siedzę w tym samym domu-muzeum pani Eweliny Bartosiewicz i oglądam nowe nabytki zbiorów. Od strony ogrodu, od balkonu, na którym Prus napisał kilka rozdziałów „Emancypantek", wieje chłodem, ale ciepło wielkiego pieca załamuje zimno, niesie atmosferę intymności i tego innego ciepła, które emanuje z człowieka.

Co każe ludziom tego pokroju zajmować się zbieractwem, pokazywać potem za darmo zbiory innym, sprzątać po gościach? Ewelina Bartosiewicz przybyła tu razem z mężem lekarzem, kiedy ten zmarł, kontynuuje jego dzieło.

Na cmentarzu czytałem epitafium na grobie doktora, który jeden z trójki bohaterów Powstania Styczniowego doczekał „tej, co nie zginęła":

„Tu spoczywa dr Wacław Lasocki, ur. na Wołyniu w r. 1837, jeden z najwierniejszych synów Polski, za którą walczył w roku 1863 (skazany na śmierć, ułaskawiony), powróciwszy do kraju z kaźni do ostatniego tchnienia pracował i ojczyźnie służył. Ogromną bibliotekę i bezcenne swe zbiory muzeum w Krakowie, Nałęczowie ofiarowując, kursa rolnicze w Nałęczowie zakładając, cudownego zmartwychwstania Polski doczekawszy, Krzyżem Polonia Restituta ozdobiony spoczął w wolnej i umiłowanej ziemi.

dn. 27.XII. w Nałęczowie

Epitafium to pokazał mi Witold Rukarz z Kurowa, człowiek, który zna każdy kąt Puławskiej Ziemi. Stary pielęgniarz i kąpielowy, Jan Górski, którego odwiedziliśmy tego samego dnia, opowiadał o tym, jak Bolesław Prus częstował go cukierkami, jaki to był człowiek dobry i nieśmiały. Świeżość wspomnień po tylu latach w głosach wciąż żyjących świadków inną budzi refleksję aniżeli wspomnienia zapisane na kartkach książek. Mimo woli włączamy się w nurt tradycji, możemy te opowieści powtarzać jak legendy. To nie jest relacja, to jest przeżywanie.

Bolesław Prus — pisarz najbardziej warszawski — ma swoje muzeum w Nałęczowie, a w Warszawie dopiero teraz redakcja „Matysiaków" uzbierała złom mosiężny.

...Razem z Eugeniuszem A. idziemy wolno spacerem przez Armatnią Górę, Eugeniusz nadał właśnie list do Kołobrzegu, jedzie tam jutro, skończył swoją podróż do początku. Przed chwilą, gdy mijaliśmy „Chatę Żeromskiego", widziałem szczupłą sylwetkę Butryma pochyloną na ganku, kustosz stał i patrzył w przeciwną stronę, tam właśnie, gdzie Piotr Łuka razem z Żeromskim odmierzał kręgi, zanim postawił grobowiec dla Adasia. Czy w takim spacerze nie ma emocjonalnych doznań, czy w tych węzłach życia nie kryją się wrażenia niezatarte? Wycieczka szkolna, która schodzi w dół, obejrzała już muzeum, teraz wrażenia żyć będą samodzielnie w głowach młodych ludzi, w wieku dojrzałym wrócą być może jako niezapomniane wspomnienia.

Oglądam dzisiaj ostatnie prace przy gmachu nowego sanatorium, pomieści stusiedemdziesięciu pacjentów. Czy oni też tak jak ten człowiek obok mnie będą tu wracać, tego nie wiem.

Idziemy, na drzewach liście nabierają już koloru żółci, stare dęby straciły swoją soczystą zieleń, za wąwozami pustka pól daje wrażenie nieskończoności. Trzeba pokłonić się drzewom, trzeba głęboko oddychać, bo w tym także wyraża się uroda życia.

Praca wyróżniona w konkursie na reportaż o Lubelszczyźnie, zorganizowanym przez Wydział Kultury PWRN w Lublinie, Oddział Lubelski SDP, Wydawnictwo Lubelskie i redakcję „Kameny".

Zalew łaszczowski był ostatnim obiektem, jaki oglądałem w Tomaszowie, a potem udałem się do budynku miejskiej rady, by kończyć swoje dzieło z przewodniczącą, to znaczy przeprowadzić finalną rozmowę.

— Za co was najwięcej chwalili w tym konkursie?

— Na przykład w gospodarce komunalnej za rozpoczęcie budowy podstawowych urządzeń: wodociągów i kanalizacji. Nowe ujęcie wody dla miasta pan oglądał, a to dopiero pierwszy etap robót... Kochali nas też za ulice i zieleńce, też pan oglądał. Po prostu zaczęło się to wszystko ruszać. I tu muszę powiedzieć o udziale czynu społecznego.

— Jaka wartość czynu?

— 5 418 tys. zł. To za rok ubiegły, gdy tymczasem w latach poprzednich nie przekraczaliśmy półtora miliona złotych. Jeden przykład. Szli ludzie do kościoła polną właściwie ulicą Króla Zygmunta, zobaczyli wozy z niesortem na podbudowę pod asfalt, wrócili do domów przebrać się, wzięli za łopaty i stanęli do roboty. Powstał samozwańczy komitet budowy tej ulicy, którym kieruje, niech pan uważa, kobieta: Nina Kozyra, a pomagają jej: Aleksander Borkowski, Mikołaj Bałabuch, Tadeusz Stechni. Miasto ma tylko położyć krawężniki i dywanik asfaltowy, a resztę ludzie robią w czynie społecznym, nawet spychacz wynajmą za własne pieniądze.

— I wszystko tak gładko idzie?

— No, nie zawsze. Bo, niech pan sobie wyobrazi, że miasto nie może skończyć tej ulicy Króla Zygmunta, ponieważ są trudności z nabyciem krawężników, o czym ludzie nie chcą słyszeć. Ale ten zapał tylko może cieszyć. Gorzej kiedy powstaje sytuacja taka jak z fontanną, zbudowaną niedawno, lecz czynną tylko od święta, gdyż nikt z architektów tomaszowskich nie chce się podjąć opracowania wystroju architektonicznego tego obiekciku. Zebrałam tych panów tutaj, porozmawiałam, jeden na drugiego pospychał co nieco i koniec.

— Nasuwa się tu potrzeba użycia spychacza do nieco innego celu niż roboty budowlane — kończę tę rozmowę, a przewodnicząca kończy dzień pracy. Jest godzina 18.

Mamy z pewnością wiele miast tej klasy, co Tomaszów Lubelski, lepiej zaopatrzonych, pod względem gospodarki komunalnej lepiej rozwiniętych. Ba, widziałem miasta powiatowe lepiej zaopatrzone i bardziej cywilizowane niż niejedno miasto wojewódzkie. Ale chyba nieczęsto można spotkać miasto, w którym tak dobrze gołym okiem widać, że tu się cały czas po prostu coś robi, jedno się kończy, drugie zaczyna, własnym pomysłem i własnym przemysłem. I za to oni dostali nagrodę w konkursie MISTRZA GOSPODARNOŚCI.

— Biorą się nasi ludzie rzetelnie, uwierzyli w możliwość powodzenia, w możliwość tego, że coś się da zrobić, i o ile dawniej było czasem trudno, trzeba było niejednokrotnie szeregu gromkich słów, przykrych niemalże, o tyle ostatnio stosunki te układają się na zupełnie innej płaszczyźnie, to trzeba zrobić, tamto, myślimy, jak zrobić — powiedziała mi na koniec przewodnicząca. A Tomaszów miał zaległości.

Maciej Podgórski

Anatoliusz Lis–Jamiński

* * *

(Z cyklu „Twarz mniszki")

Tak swoją miłość w te wiersze
jakby w kieliszki rozlałem.
Stroły tu różne: te szersze,
te węższe. Jednakże całym
żadna nie żyje uczuciem,
bo teraz jak na pokucie
to miłość moja przeziera
przez wiersze jak przez kieliszki,
kiedyś gorąca i szczera,
a dziś zastygła i smutna
wygląda jakby twarz mniszki.
Miłość tak dawniej szalona
i tak bezwzględna, okrutna,
teraz bezwładna, bez woli,
jak w napój chłodny skroplona —
nie wiem, czy żyje, czy boli...
lecz wiem na pewno — to ona!

Przez wiersze jak przez kieliszki
wspomnieniem ku mnie wyziera,
dawniej gorąca i szczera,
a dziś zastygła — twarz mniszki.

* * *

Przecież to lato jeszcze —
Od kwiatów wokół się mieni.
Piszę wiersze w ogrodzie,
A w wierszach tych tyle jesieni.
Przecież jeszcze trawniki
Świeżutką pachną zielenią.
Piszę wiersze na trawie,
A wiersze te pachną jesienią.
Przecież jeszcze motyle
W promieniach słońca się pieszczą.
Piszę wiersze na słońcu,
A wiersze — jesienią szeleszczą.

Spowiedź

Lubię wiosną za wieś wychodzić. Na rozstaju,
Gdzie stoi krzyż samotny, sczerniały i stary,
Gardząc karą piekielną i nagrodą raju,
Z cichej swej bezimiennej spowiadam się wiary.

Wtedy za świątyń złoto starcza mi pień krzyża,
Trawa zielona, gałąź, którą wiatr przygina.
A kiedy oczy przymknę, krzyż ramiona zniża
I moją grzeszną duszę na sobie rozpina.

I oto moc cierpienia dziwnie się potraja:
Cierpi ziemia rodząca w zieleni odnowie,
Od rdzy cierpi „Chrystusik" wisząc na rozstajach,
A ja cierpię najbardziej, bom jest żywy człowiek.

Jerzy Krzysztof Misiec

* * *

taka jesteś przed lotem
świadoma na wietrze jak
cięcie twarzy gdy oczy
otwierasz zasypujesz je żwirem
i szarpiesz dłonie zakłamane

jesteś przed lotem
cicha w porodzie jak
grom szeptu gdy język
uciąsz rzucasz wyznanie róży
bezskrzydła jak niepewność
zrodzona lotem
opadająca w dół
jak gest
co przebija
świadomość twarzy.

Rys. D. Opolski

W oparach jazzu

Jacek Grün

LUBELSKIE Spotkania Wokalistów Jazzowych nie mają — praktycznie rzecz biorąc — żadnej tradycji. Do dziś jeszcze gubi się środowisko muzyczne Lublina, gdy mowa o rozwiązanym oddziale Stowarzyszenia Jazzowego. Ponoć za całość wziął się prokurator, coś tam w rachunkach nie grało. Był zatem rok przerwy, nie znalazł się w naszym mieście organizator chętny do ryzykownego przedsięwzięcia. I nagle „Estrada", której często zarzuca się typowo komercyjną działalność, próbuje szczęścia na wyżynach artystycznej akcji. Organizuje ogólnopolski przegląd amatorów śpiewających jazz. Należy wyjaśnić, iż zadania są podzielone. Warszawski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego zajmuje się częścią artystyczną, drukiem plakatów i programów. W Lublinie pracownicy „Estrady" zapewniają sale, miejsca w hotelach, sprzedaż biletów itp.

Gdyby nie „Estrada", wisielibyśmy nadal na szarym końcu listy miast kultywujących jazzowe tradycje. Od trzech lat LSWJ są jedyną okazją usłyszenia kilku znakomitych zespołów i wokalistów, imprezą, na której spotykają się młodzi muzycy konfrontujący swoje osiągnięcia w trudnej dziedzinie wokalistyki jazzowej. Niestety, nasz festiwal jeszcze raz potwierdził opinie, że w Polsce w ogóle nie istnieje takie zjawisko. Za niski poziom przeglądu trudno winić kogokolwiek. Poziom LSWJ jest tylko realnym odbiciem sumy talentów i umiejętności polskich wokalistów jazzowych.

Naszej muzyce jazzowej zagrażać zaczyna zwykły big-beat. Nawet we Wrocławiu, o którym to festiwalu pisałem, triumfowały gitary elektryczne i potężne wzmacniacze. Publicyści wprawdzie twierdzą, że dzisiejsi jazzmani to wczorajsi bigbeatowcy, ale sytuacja na rynku muzycznym wygląda akurat odwrotnie. Dawniejsi jazzmani uczą jazzu, który wykorzystując doświadczenia rock'a i bluesa, stwarza zupełnie nowy gatunek — konglomerat stylów i rodzajów.

Na kilkunastu uczestników LSWJ zaledwie kilku można umieścić w przegródce „wokalistyka jazzowa". Reszta to ci sami, których widziałem na „Jazzie nad Odrą". Na co dzień grają w klubach „Mummy Blue", a tutaj przyjeżdżają z przygotowanymi naprędce standardami i źle pojętą umiejętnością śpiewania jazzu. Jako przykład zupełnie skrajnego przeciwieństwa postawiłbym tutaj Krzysztofa Cugowskiego z lubelskiej „Budki Suflera". Jest to zespół rzeczywiście grający „blues and rock" i tym wymogom podporządkowuje się wokalista. Na przeglądzie zaprezentował się w repertuarze stricte jazzowym i wykonując standardy Annie Ross przekonał, że powinien poważnie zająć się tego typu muzyką. Wyjątkowo dobra angielszczyzna, łatwość improwizacji i duża skala głosu w dolnych rejestrach o matowym timbrze — dają sensowną całość.

Jeden z naszych znakomitych muzyków powiedział mi: on nie pokazał nic nowego poza tym, co śpiewa Annie Ross. Gdyby to była jego interpretacja — byłoby znakomicie.

— A co nowego wnieśli nagrodzeni na festiwalu: Jerzy Wawrzyniak z Warszawy, Barbara Martelińska z Warszawy, wokaliści (3) grupy „Gramine" z Warszawy?

— ... (brak odpowiedzi).

Obserwując przez trzy dni LSWJ zauważyłem coś bardzo niedobrego w atmosferze tego festiwalu. Rzecz wyglądała następująco: spotkały się ze sobą hołdująca z zasady komercyjnym przedsięwzięciom „Estrada" i mające aspiracje artystyczne Polskie Stowarzyszenie Jazzowe. Udowodnić, że Lublin nie dorósł do tak poważnego, jedynego w Europie, konkursu wokalistów — oto dewiza warszawskich organizatorów.

Przed drugim koncertem — przeglądem — podszedł do mnie znajomy z Warszawy:

— Zauważ, kogo będzie kręcić telewizja.

I tylko tyle. Skojarzenie przyszło później, gdy usłyszałem werdykt jury. Dziwny zbieg okoliczności: gdy ogłoszono wyniki, telewizja mogła dać już u siebie występy laureatów. Nie chcę nic sugerować, podaję tylko przykład, jakie znaczenia może mieć zbieg okoliczności.

Rzeczywiście smutnym przypadkiem była choroba dwóch członków grupy NOVI, gdzieś w NRF utkwił ponoć HAGAW. Jedynie występ zespołu Michała Urbaniaka i Bemibek zatarł nieprzyjemne wrażenie. Zbigniew Namysłowski podobno wyjechał nagle za granice, a Terri Quay w ogóle nie zjawiła się w kraju. To tyle o imprezach towarzyszących, które i tak uratowały nas od nudy i beatowego łomotu w godzinach nadliczbowych.

Kiedy szedłem na tradycyjny jam-session, czyli spotkanie wszystkich muzyków, łudziłem się jeszcze nadzieją. Znów sprawdziły się obawy postawione we wrocławskiej recenzji — była muzyka pod picie, a nie picie pod muzykę. W sali MDK znaleźli się wszyscy uczestnicy i goście LSWJ. Nikt jakoś nie miał ochoty na muzykowanie. Grymasy, że ta gitara zła, że pianino rozstrojone, potwierdziły raz jeszcze stosunek muzyków do lubelskiej imprezy. A ludzie zapłacili po 40 zł za wstęp, ustawili w rządkach krzesła i oczekiwali koncertu.

— Jakże to, dawać koncert bez zapłaty? Oni siedzą tu niczym barany, nie ma atmosfery, lepej urżnąć się w trupa — oto opinia jednego z naszych czołowych instrumentalistów.

— Ja na tej gitarze grać nie będę, nie jestem przyzwyczajony.

— O, panowie, chodźmy na dziewczynki, nie ma dla kogo grać.

A przypomnijcie sobie, owieczki boże, jakeście pokorne były na jam-session zorganizowanym z okazji Jazz Jamboree, gdy za bębnami usiadł Elvin Jones, jak uczył sztuki „Cannonball" Adderley! Tam żeście zapewniali, że muzyka i jej propagowanie miłe jest waszemu sercu, waszej wrażliwej duszy. Tutaj, w mieście, które nie ma ani jednego zespołu jazzowego, odgrywacie artystów, rozpieszczone sławą laleczki.

W ten sposób wyglądały dwie imprezy, na które wszyscy liczyli i na które każdy chciał się dostać. Trudno zresztą wymagać od organizatorów, aby zmusili do występu na jam-session. Jest to jedyne spotkanie, gdzie pieniądz nie odgrywa roli i może dlatego panuje na nim zwykle swoboda, pełna entuzjastycznej muzyki — atmosfera. Na kpiących sobie z wszystkich i wszystkiego nie ma, niestety, rady. Tutaj nie pomogą ani prośby ani groźby. Linię działania narzucił sam poziom festiwalu, poziom amatorów próbujących na każdym kroku przekonywać, że właśnie oni śpiewają jazz.

Jury wyróżniło dużą ciekawostkę. Na estradzie wystąpili bracia Rajowie, bliźniacy, jednakowo ubrani, z identycznymi manierami tancerzy Brodway'u. Ktoś powiedział, że taki numer musi być zawsze — jakaś kobieta z brodą, karzełek z długimi uszami, cielę z dwoma głowami. Podobno już w Warszawie (na przesłuchaniach) postanowiono wykorzystać zgrabny duet do jakiejś śmiesznej imprezy — ma to być zapewne „show" w prowincjonalnym wydaniu. Dobrze więc, że dostali wyróżnienie, będzie ich można zapowiadać jako wyróżnionych w Lublinie. Dyskusja przypominać musi rozmowę na temat: czy Acker Bilk gra jazz czy zwykłą, rozrywkowo-knajpianą muzykę. Jestem za tym drugim, ale to moja osobista sprawa.

Obrady kilku zaledwie akredytowanych dziennikarzy, komu przyznać tradycyjną nagrodę, miały w sobie również coś z groteski. Stosunkiem 6:1 postanowiono wyróżnienia nie przyznawać. Słyszałem na drugi dzień, jak jedna ze startujących w konkursie wokalistek chwaliła się, że ktoś proponował jej za dużą wódkę załatwić tę nagrodę. Na nieszczęście nie miała przy sobie pieniędzy, a nagrodę wypłacono dopiero nazajutrz. Potem w prasie ukazałaby się informacja, że pani X jest laureatką nagrody, która zazwyczaj zbiega się z opiniami ogółu, a więc jest wyróżnieniem najbardziej obiektywnym.

Barbara Martelińska

Fot. J. Mirosław

Dzięki najnormalniejszym przeciekom, o werdykcie jury dowiedzieliśmy się już w kilka godzin po ostatnim konkursowym przeglądzie. Rozpętała się burza w szklance muzyki — nie spotkałem się z żadnym głosem akceptującym nonsensowny i uwłaczający godności zasiadających w jury muzyków, werdykt. Pierwszej nagrody nie przyznano, co świadczyć miało o skandalicznym poziomie. To samo potwierdził fakt nieprzyznania nagrody dziennikarzy. Drugie miejsce otrzymał Jerzy Wawrzyniak — wokalista śpiewający czystą popmusic. W tym konkretnym przypadku pomyłka jury zakrawała na skandal. Jakże wystąpi kiedyś na estradzie wokalista, który nosić zacznie od tej pory miano najważniejszego laureata Lubelskich Spotkań Wokalistów Jazzowych?

Sporo nagromadziło się faktów przemawiających na niekorzyść imprezy, tak oczekiwanej przez wszystkich spragnionych jazzu mieszkańców Lublina. Niski poziom artystyczny, połączony ze śmiesznymi historyjkami, obniżył znowu prestiż jedynego w Europie przeglądu, na którym nie wystąpił ani jeden gość spoza granic Polski. Nie wiem nadal, dlaczego tak się stało. Przyczyn można upatrywać w wielu zjawiskach. Współdziałaniu dwóch przeciwstawnych instytucji, ukrytych gdzieś tam chęci zlikwidowania tak potrzebnej nam imprezy, impotencji muzycznej wkraczającej do jazzu młodzieży, a może we wprowadzeniu zasady niezdrowej konkurencji w formie konkursu? Warto jednak próbować nadal, warto z pewnością eksperymentować, gdyż w ten sposób nie tylko powstaje tradycja, ale może wreszcie wytworzy się coś, co da nam zadowolenie.

Za pierwszorzędne posunięcie uważam likwidację konkursu, który — jak wykazała praktyka — prowadzi do frustracji, a w muzyce nie ma dla niej przecież miejsca. Wprowadzić trzeba jedynie nagrodę publiczności jako element wspólnej zabawy. Wyeliminuje to krążące plotki, przyciągnie wielu młodych wokalistów, którzy zajmą się śpiewaniem, a nie kombinowaniem najłatwiejszego sposobu zdobycia nie odzwierciedlającego faktycznego stanu rzeczy wyróżnienia.

Lublin chce być nowoczesny

Dokończenie ze str. 1

a może śmigłowce lub jakaś pneumatyczna poczta będzie dostarczała zamówione przez radiotelefony kontenery do robotów, pełniących funkcję dozorców domowych? Może my nadal będziemy szukali warsztatu hydraulika, może odwrotnie — hydraulik uszkodzenia w naszych mieszkaniach?

Czy mieszkańcy śródmieścia pozostaną w swoich odziedziczonych po przodkach mieszkaniach, czy też z własnej woli lub zmuszeni (pogarszającymi się warunkami środowiska lub nakazami administracyjnymi) uciekną na przedmieścia, albo nawet na obrzeża całej aglomeracji miejskiej? A co robić wtedy z istniejącymi budynkami mieszkalnymi — burzyć i budować biurowce, czy też adaptować owe stare bloki godząc się z tym, że jednak nie w pełni będą wykonywały swoje nowe zadania? Jeżeli nie będzie mieszkańców, trzeba zlikwidować szkoły, w ślad za nimi potrzebne uczniom sklepy itd. itd. Jeżeli zaś wyludnimy śródmieścia, to po godzinach urzędowych staną się one pustynią, jak to już było z ul. Kruczą w Warszawie, a częściowo jest z fragmentem paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Krętka można dostać, gdy się na te sprawy patrzy raz z jednej, drugi raz z innej i jeszcze innej strony.

Nic więc dziwnego, że zespół architektów-urbanistów z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej aż siedem (niektórzy mówią na ucho, że dziesięć) lat stracił na studia, badania i projektowanie, nim odważył się zaprezentować publicznie omawiany projekt. Miał przecież jeszcze dodatkowo typowo lubelskie trudności: śródmieście leży na dużym wzgórzu, co dodaje mu malowniczości, ale ogranicza dość wyraźnie jego rozprzestrzenianie się. Teren na otaczających je skarpach jest trudny do zabudowy, a leżące tuż za nimi parki i łąki w ogóle nie nadają się na tereny budowlane.

Na spotkaniu w Miejskim Domu Kultury zaprezentowano zebranych 25 plansz — to tylko część tego, co opracowano — na których można było zobaczyć, jak powstawały poszczególne fazy projektu. W kalejdoskopie barw, w nakładających się plamach, krzyżujących liniach widać niemal było, jak twórcy projektu chodzili po terenie z ołówkiem, notesem, cyrklem i kątomierzem w ręku, jak mierzyli, rysowali i liczyli, jak ocierali pot z czoła i nieraz z rozpaczą patrzyli w niebo...

Praca zaczęła się od inwentaryzacji tego, co znajduje się w śródmieściu na jego powierzchni. Z podziałem na rzeczy użytkowo-funkcjonalne i zabytkowe, co uwidoczniono szczegółowo w odpowiednich kartotekach.

Omawiany projekt planu zagospodarowania przestrzennego śródmieścia Lublina opracował zespół architektów i urbanistów z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej. Głównym projektantem jest kierownik tejże pracowni, mgr inż. arch. **Romuald Dylewski**, a zespół tworzą: mgr inż. **Wiesław Chojnacki**, mgr inż. **Bernard Kowalczuk**, mgr inż. arch. **Jerzy Lipiński**, mgr **Zofia Rachwalska**, mgr inż. arch. **Barbara Szymczak** i mgr inż. arch. **Zdzisław Wośko**.

Spotkanie z mieszkańcami miasta zorganizował i prowadził prezes Tow. Miłośników Lublina i naczelny architekt miasta — mgr inż. arch. **Olgierd Olszewski**.

Najwięcej kłopotów było z tym, co przedstawiało — nie tylko w dokumentach, lecz i w odczuciu społeczeństwa — wartości pół — czy ćwierćhistoryczne. Na planszy pokazano nie stan stwierdzony, ale taki, jaki będzie (najprawdopodobniej) w roku 1985, a więc w roku, który aktualnie w urbanistyce zamyka tzw. okres perspektywiczny (po nim, do roku 2000, następuje okres kierunkowy).

I tu trzeba było się zdecydować, co z różnych względów będzie musiało przetrwać, a co zostanie skazane na zagładę, co ze względu na remonty utrzyma się nieco dłużej. Faktyczne burzenie nie będzie odbywało się łatwo, bo każdy obiekt zawsze znajdzie obrońcę. Z drugiej strony i bez obrońców i bez względu na koszty zachować trzeba obiekty o wartości zabytkowej.

Inna plansza pokazała obiekty usługowe — handlu, szkolnictwa, kultury itd. Tu okazało się, że w zasadzie prawie wszystkie tego typu obiekty znajdują się przy lub w bezpośrednim sąsiedztwie Krakowskiego Przedmieścia. Kolejna plansza to mieszkania — tych jest w śródmieściu najwięcej, a być powinno najmniej. Ile zaś tych mieszkań mieści się w ruderach, nieraz nawet od frontu całkiem przyzwoicie wyglądających, to znów inna sprawa. I tak powstawały kolejne plansze, ujawniające wszystkie aspekty naszego życia w śródmieściu.

Po przeprowadzeniu tych wszystkich wiwisekcji i sporządzeniu planszy zbiorczej zaczęła się rzecz najtrudniejsza — myślenie, co z tym wszystkim zrobić, jak w ceglano-kamienną teraźniejszość wmontować to, co chcemy mieć jutro i pojutrze.

Zdecydowano ostatecznie, że śródmieście Lublina pozostanie tam, gdzie jest obecnie, chociaż w sześciu głównych dzielnicach miasta powstaną dekoncentryczne śródmieścia dzielnicowe. Tkanka centralnego śródmieścia nie będzie jednak jednolita, jak to poprzednio zakładano. Tworzyć ją będzie siedem zespołów, niemal każdy o innym charakterze, lecz w sumie jeden żywy, wielostronnie funkcyjny organizm.

Nie tyle z urzędu, co z wieku, Stare Miasto nazwano centrum nr 1. Teraz to dzielnica niemal wyłącznie mieszkaniowa — w przyszłości ośrodek ruchu turystycznego, oparty na przebudowie istniejącej substancji, a nie na nowych obiektach. Tu ekonomia musi ustąpić pierwszeństwa historii, więc nie wolno dopuścić do tego, aby nadmierna aktywność przedsiębiorstw zajmujących się turystyką (gastronomią, hotelarstwem, pamiątkarstwem itp.) zmuszała do sztucznych przeróbek, ruchu pojazdów lub innych przedsięwzięć, zakłócających urok i wartości kulturalne tego rejonu.

Największym i tradycyjnym centrum śródmiejskim było i pozostanie Krakowskie Przedmieście i jego najbliższe okolice. Mieszkania będą tu jednak zanikać, więc albo budynki zmienią funkcje, albo po ich wyburzeniu powstaną nowe tereny do zabudowy, już ściśle związanej z funkcją śródmieścia. Centrum handlowe między ulicami Hempla i Karłowicza jest tylko przykładem zespołów (o różnych przeznaczeniach), jakie powstaną tuż na zapleczu naszej głównej arterii śródmiejskiej.

Centrum nr 3 zajmie małe terytorium, ale jego istnienie w mieście będzie miało swoją wagę. To ośrodek administracyjno - kulturalno - usługowy, obejmujący rejon budynków KW PZPR, hotelu Unia, Teatru Muzycznego, przyszłego teatru dramatycznego i nowego ratusza na uwolnionym właśnie do zabudowy placu przy ul. Lipowej. Połączy się ono kiedyś z centrum nr 2.

Okolice ulic Żmigród — Buczka — Przemysłowa, to kolejne centrum nowego śródmieścia, zresztą dosyć tradycyjne, gdzie większość istniejącej zabudowy już teraz powinna być zburzona. Powstanie tu całkiem nowoczesna dzielnica o charakterze mieszanym. Zniknie przemysł, skoncentruje się usługi rzemieślnicze, a ze względu na doskonałe dojazdy ze wszystkich stron, jak również są-

Kamena str. 6

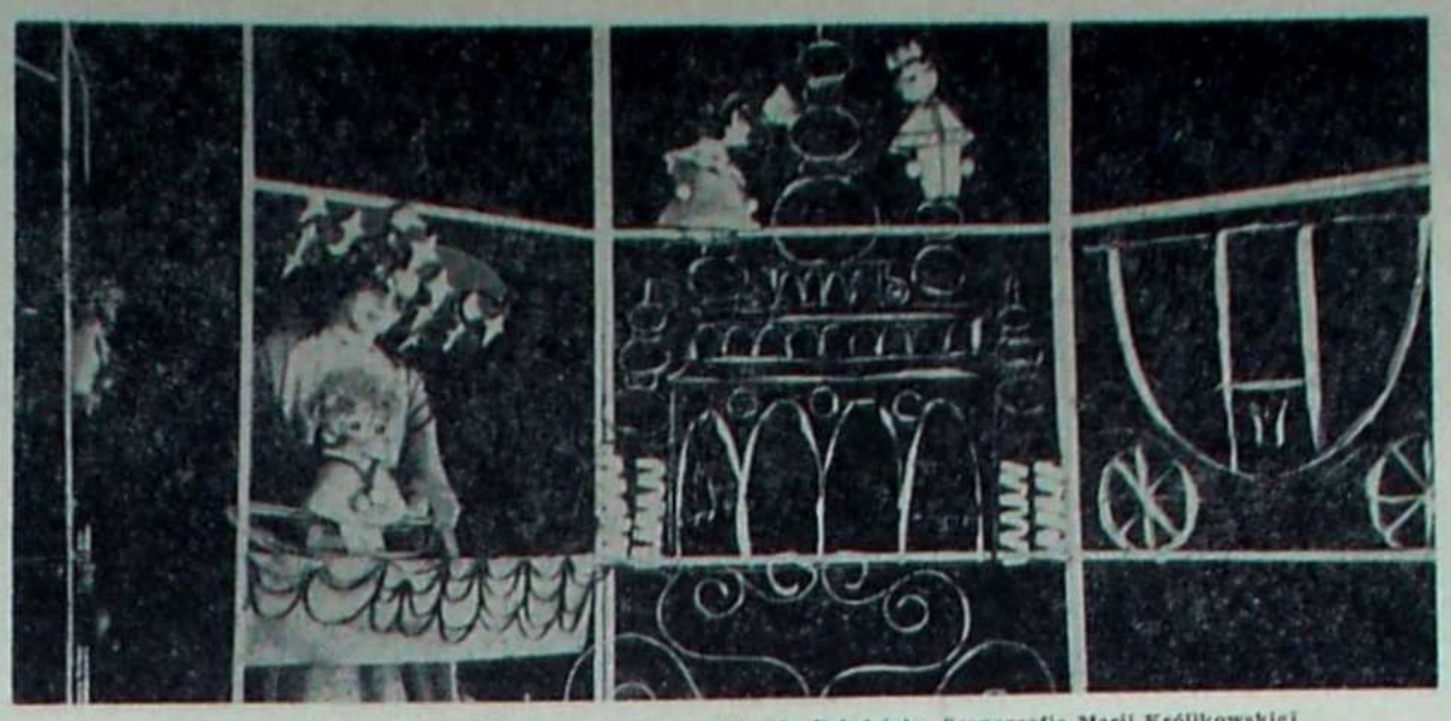

„Królowa Śniegu" wg H. Chr. Andersena. Scenariusz Andrzeja Dziedziula. Scenografia Marii Królikowskiej
Fot. A. Polakowski

To jest jajo indycze

Maria Bechczyc-Rudnicka

KILKA tygodni temu odbyło się I Poznańskie Biennale Sztuki dla Dziecka według programu, który obejmował literaturę, film i teatr. Nie uczestniczyłam w owej nader ważnej imprezie, mam wiadomości o niej tylko z trzeciej ręki, ze sprawozdań prasowych, siłą rzeczy zwięzłych, trafiły się jednak wśród nich relacje zawierające analizy dostatecznie dociekliwe, by odżył mój niepokój sprzed dwóch lat spowodowany pewnymi poczynaniami teatru dla dzieci. Ściślej mówiąc — teatru lalkowego, innego teatru dla dzieci przecie nie mamy, nie sposób bowiem uważać za takowy przedstawień „dziecięcych" i „młodzieżowych" kleconych dorywczo przez zwykłe teatry dramatyczne na marginesie ich zasadniczej działalności. Te przedstawienia stanowią szczególnie twardy problem. Zostawmy go zresztą na razie specom od badań laboratoryjnych, mnie osobiście, lalka-sympatyka teatru, przejmuje w danym momencie żywiej kryzys, który przechodzą od kilku lat teatry lalkowe, powtarzam — jedyne obecnie fachowe teatry dla dzieci.

Tak się ostatnio niezręcznie składało, że musiałam przytaczać cytaty z moich własnych dawnych artykułów. Popełnię tę nieprzyzwoitość i tym razem z czystym sumieniem, gdyż robię to nie gwoli zaakcentowania swego „prekursorstwa" krytycznego, lecz w zatroskaniu faktem, że różne paradoksy zakorzeniają się u nas w życiu teatralnym głęboko, nim szkody wyrządzane przez odchylenie od zdrowego rozsądku dotrą do świadomości osób odpowiedzialnych za ich powstanie.

A więc pisałam dokładnie w czerwcu r. 1971 przy okazji Spotkań Teatrów Lalek Polski Wschodniej oraz towarzyszącego im Ogólnopolskiego Zjazdu Kierowników Artystycznych i Przedstawicieli Sekcji Lalkowej SPATIF-u: *Sama esencja teatralna VI Spotkań zaprezentowała się raczej niepokaźnie. Gdzie są przyczyny tego faktu?... Tkwią one chyba w zarysowującym się kryzysie sztuki lalkarskiej, pogłębianym bez wątpienia przez szerzącą się epidemicznie tendencję do wyprowadzania animatorów przed parawan.* I dalej, oceniając prezentację Leśmianowego „Zaklętego rumaka": *Wolno było oczekiwać, że powieje ze sceny jakiś fluid poezji. Spektakl okazał się kompletnym jej zaprzeczeniem, z chwilą gdy nieomal całe gremium animatorów wyległo „na deski".* Analogiczne wątpliwości nasunęła mi wówczas rzeszowska inscenizacja „Hefajstosa" Świrszczyńskiej, w którym dwie figurki à la Tanagra, niesione przez ujawnionych animatorów niczym lampki oliwne, nie zdołały powetować braku lalek wyrugowanych ze spektaklu. Kończyły się moje spostrzeżenia wnioskiem, że zasadnicza sprawa ryzykownych dewiacji spektakli lalkowych w stronę „żywego planu" nie została dostatecznie przeanalizowana w dyskusjach VI Spotkań („Nie robić z lalki rekwizytu", „Kamena" nr 14 z r. 1971).

Mamy rok 1973. Otóż odnoszę wrażenie, iż sprawa analizy przypomnianego w niniejszych rozważaniach problemu nr 1 teatrów lalkowych nie posunęła się naprzód i na niedawnym poznańskim biennale. Przekonujący na ogół artykuł M. Sienkiewicza w „Przekroju" (z 27 V) tylko pod adresem teatrów dramatycznych kieruje uwagę, że ich prymitywne wciąganie dzieci do zabawy jest nieudolnym dublowaniem zabaw i zajęć w przedszkolu czy na koloniach. A wszak należałoby potraktować z równym krytycyzmem spektakle — „zabawy" pleniące się coraz bardziej w teatrach lalkowych. Cóż dopiero natrętne popisywanie się animatorów grą pseudoaktorską na „żywym planie"!

Propagatorzy supremacji „żywego planu" w nowoczesnym teatrze lalkowym, apodyktyczni i agresywni, onieśmielają krytykę pomówieniem o nienadążanie. Czy nie czas już jednak przerwać zmowę aprobaty dokoła ich wątpliwych „odkryć"? Śmiem twierdzić, że przydługi okres „poszukiwań" w tym kierunku przyniósł teatrom lalkowym, z nielicznymi wyjątkami, katastrofalne rozpanoszenie się amatorszczyzny, a jak tak dalej pójdzie, doczekamy się niebawem zaniku wirtuozerii animatorskiej, zwłaszcza przy napływie do teatrów lalkowych nowych sił.

Wiadomo, że burzliwe prądy artystyczne przeżywanych przez nas ostatnio dziesięcioleci obaliły słupy graniczne między różnymi obszarami sztuki i osobiście nie zamierzam bronić absolutnej czystości tego czy innego jej gatunku. Nie twierdzę bynajmniej, by animator był raz na zawsze skazany na odseparowanie od widowni nienaruszalną zasłoną. Ale są sposoby i sposoby w bardziej bezpośrednim jego kontakcie z widzem. Przepraszam najmocniej, że zacytuję jeszcze swoje propozycje z początku ub. r., kiedy to pisałam („Kamena" nr 3) o sensownych możliwościach rozwijania ruchów aktora lalkowego ponad funkcję wyłącznie przekaźnikową: na przykład, jeśli *aktor sam staje się lalką, przejmując na siebie, wraz z jej głową i kostiumem, charakteryzujące ją ruchy. Jest to jakby coś zbliżonego do teatru masek, lecz tylko pozornie, ponieważ przywdziawszy maskę w teatrze dramatycznym aktor, udziwoniony, odcina się ostentacyjnie od rzeczywistości, podczas gdy animator wcielający się w lalkę czyni to celem skuteczniejszego jej włączenia do realnego życia.*

Wspaniałe wyniki zastosowania tego procederu zademonstrował w r. 1969 na wrocławskim Międzynarodowym Festiwalu Festiwali Teatrów Studenckich słynny amerykański zespół Bread and Puppet Company. I nie dalej jak w zeszłym roku zrealizował analogiczną koncepcję w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora — Jan Wilkowski. („Tajemnica Wysp Hebanowych" wg Bolesława Leśmiana), łącząc przy tym nad wyraz harmonijnie różne plany przedstawienia.

— Cóż to! — powie mi ktoś. — Były różne „plany" i nie ma pani nic przeciwko temu zamieszaniu?

— A nic, bo rezultat zależy od wyczucia miary i proporcji, w jakie natura czy doświadczenie wyposażyły inscenizatora.

— Słowem, niedemokratycznie: quod licet Jovi...

— Nie obrażajmy młodych obiecujących.

Na tegorocznym Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu trochę skompensowało mi doznane rozczarowania bardzo a bardzo atrakcyjne widowisko „Glątwa", którego scenariusz wg tekstów Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz listów Stanisława Witkiewicza — ojca opracowali: Janusz Degler i Andrzej Dziedziul. Obsada widowiska: ON — Andrzej Dziedziul, ONO — Urszula Miedzińska. Inscenizacja i reżyseria: Andrzej Dziedziul. Wychodzi na to, że Dziedziul był spiritus movens imprezy. Działał pod firmą Wrocławskiego Teatru Lalek, który posiada zasadniczą siedzibę przy Placu Teatralnym, widowiska zaś dla dorosłych urządza dwa razy na tydzień w klubie „Piwnica Świdnicka", Rynek—Ratusz, w bliskim sąsiedztwie Teatru-Laboratorium Grotowskiego.

Jest to chyba jakieś dość rozsądne rozwiązanie problemu eksperymentowania teatru lalkowego. Zastanawiam się właśnie, dlaczego widowisko Dziedziula (i Deglera) nie wywołało we mnie żadnych oporów, aczkolwiek, firmowane przez teatr lalek, nie miało prawdziwej lalki ani na lekarstwo. Wiem już: dlatego, że po pierwsze, słyszałam znakomite teksty Witkacego podawane przez dwoje aktorów wnikliwie; że po drugie, celny wybór myśli Witkacego był przeznaczony dla widzów dorosłych zdolnych do jego percepcji; że po trzecie, cała rzecz, pokazana w „Piwnicy Świdnickiej", kojarzyła mi się nie tyle z zawodowym teatrem lalek, ile z przodującym amatorskim teatrem studenckim; że po czwarte, reżyser wraz ze scenografem obmyślili dla widowiska jakieś kunsztownie odrobione „powłoki", które aktorzy „uduchowiali" całym swoim jestestwem (a więc odnajdziam tu jakby coś z dobrych reminiscencji pokazów zainicjowanych przez Bread and Puppet Company).

I oto mam teraz nieprzewidziane zmartwienie: Andrzej Dziedziul, „sprawdziwszy się" we Wrocławiu jako scenarzysta, inscenizator, reżyser, tudzież aktor, zaproszony do Lublina przez dyr. Stanisława Ochmańskiego (którego inicjatywy w Teatrze Lalki i Aktora im. Andersena niemal permanentnie wynoszę pod obłoki), ten sam Dziedziul położył spektakl „Królowej Śniegu" na obydwie łopatki, jako scenarzysta i reżyser, przy pracowitym współdziałaniu scenografa, Marii Królikowskiej. A więc znowu wypadnie mi głowić się (tylko już w nastroju nieoptymistycznym), „dlaczegoż to..." i odpowiedzieć wyliczanką: dlatego, że po pierwsze, dyspozycjom artystycznym Andrzeja Dziedziula widocznie bardziej odpowiada złożone „Idzie szare" Witkacego (który powiedział: „Ja, wybierając mój los, wybrałem szaleństwo"), niż prostolinijny, choć zakłócany przeszkodami, pochód dobra — przez świat innego pisarza, poety w prozie, H. Chr. Andersena...

To było „primo" w litanii przyczyn lubelskiego fiaska, co dalej?

Dalej? Proszę:

Secundo — prawdopodobnie Dziedziul całkiem zapomniał, iż na widowni przytulnej sali przy ulicy Klonowicza znajdą się przede wszystkim dzieci i będzie wśród nich sporo maluchów.

Tertio — Andrzej Dziedziul na pewno waży sobie lekce zwykłą lalkę teatralną, poruszaną z większą lub mniejszą maestrią przez ukrytego animatora, i sądzi, że jej właściwe miejsce jest w muzeum bądź w teatrze „akademickim".

Quarto wreszcie — koleżeński Dziedziul okazał zrozumienie dla wyzwolonych przez modne prądy tęsknot zasłużonych animatorów Teatru im. Andersena — do wyżywania się na „żywym planie".

W rezultacie otrzymała dziatwa lubelska spektakl tak schematyczny, jak prętowo-druciany parawan, na którym ledwo dostrzegalnie „rozwieszano" akcję niezbornego scenariusza i sponiewierane, uśmiercone laleczki. Mali widzowie byli osowiali z nudy, bawili się tylko animatorzy — aktorzy używając na „joyce'owskich" przemianach postaci. Pan Andersen, już to narrator czy komentator, już to pracownik techniczny od zmian w układzie „dekoracji", miał jednak, mimo różnorakich ubocznych zatrudnień, dać poznać dzieciom, zgodnie z naczelną ideą scenariusza — swoje przeznaczenie wielkiego poety, który wzniósł się ponad ubogi grunt malutkiej Danii. Miał to pokazać metaforycznie poprzez losy brzydkiego kaczątka wyrastającego na wspaniałego łabędzia. Ale płaski ptak drewniany, co go Pan Andersen nosił tu i tam, pozostał zdecydowanie szpetny i w całej krzątaninie z „Królową Śniegu" nie było ani odrobiny poezji H. Chr. Andersena, ani po prostu jakiegoś sensu uchwytnego dla dzieci czy dla dorosłych. Podejrzewam, iż pan Andrzej Dziedziul podłożył Andersenowej kaczce jajo indycze, a wiemy przecie — indyk jest niemądrze próżnym ptakiem.

Trudno, nie będzie prawdziwej nowej sztuki bez przywrócenia poszczególnym jej dziedzinom pewnych konstytutywnych rygorów.

Żałuję niezmiernie, że „indycze" zapędy w nowoczesnych teatrach lalkowych wypadło mi niespodzianie „egzemplifikować" przedstawieniem lubelskiego Teatru Lalki i Aktora, który wysoko cenię i szczerze lubię.

---

siedztwo już powstającego parku Rusałka powstaną także zespoły mieszkalne. Z uwagi na jakość gruntu, budownictwo będzie tu droższe (w dużej części na palach), ale bliskość „centralnego centrum" sprawi, że zwiększone koszta szybko się zamortyzują.

Specyficzne centrum (nr 5) powstanie przy ul. Podgrodzie (aż do Al. Świerczewskiego). Ma to być świadomie stworzony zakątek, zaułki z małymi sklepikami i kafejkami, może bukinistami na przymurkach i różnymi innymi ekstrawagancjami, by nie powiedzieć — zwariowanymi pomysłami. Z jednej strony park Rusałka, z drugiej wznoszące się na skarpie domki, nad nimi domy — co już teraz plastycznie widać, gdy się jedzie Al. Świerczewskiego od dworca PKP. Dojazd ul. Okopową, która gdzieś przed ul. Hempla wejdzie w tunel, by wyłonić się na dolnej części ul. Górnej.

Centrum nr 6 to rejon ul. 3 Maja i budującej się Trasy W-Z, przez teren szpitali aż do ul. Kowalskiej. Jego dokładniejsza koncepcja dopiero się rodzi. I wreszcie rozbudowane centrum administracyjne w okolicach Prezydium WRN i WKPS, łatwo dostępne dla komunikacji samochodowej od strony Trasy W-Z i dla pieszych ze stron pozostałych.

Planowało się kiedyś całkowite zamknięcie centralnego śródmieścia dla ruchu samochodowego. Wydaje się, że zakaz obejmie tylko Krakowskie Przedmieście i część przecznic, te o charakterze czysto lokalnym. Utrzymany zaś zostanie ruch samochodowy na wszystkich ważniejszych przecznicach. Tyle, że w zasadzie nie będzie kolizji z ruchem pieszym. Nie tyle dzięki dwupoziomowym skrzyżowaniom (chociaż i takie powstaną, np. w rejonie zbiegu Al. PKWN i ul. Sowińskiego), ile dzięki tunelom, przez które będą kierowane samochody jadące w kierunkach północ-południe i odwrotnie.

I tu zaczyna się trochę realistycznej fantazji — jeżeli można użyć takiego sformułowania. Bo rzeczywiście owe tunele wydają się jedynym wyjściem. Projektuje się więc taki niemal kilometrowy tunel gdzieś od przyszłego bulwaru nad Bystrzycą i parku Rusałka aż w rejon Lubartowskiej, drugi pod płytą, która przykryje dzisiejszy Pl. Łokietka, trzeci nad wykopem, łączącym ulice 3 Maja i Kołłątaja, czwarty nad najtrudniejszym dziś węzłem komunikacyjnym przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia, ul. Lipowa i Al. Racławickie, czwarty... piąty...

Prawdą jest, że fizjograficzne warunki terenu, na którym rozłożyło się dzisiejsze i przyszłe śródmieście Lublina, szczególnie sprzyjają budowie tuneli w kierunku poprzecznym do Krakowskiego Przedmieścia. Prawdą jest również, że podobne warunki istnieją w innych dzielnicach, pomiędzy nimi zaś — co w okresie perspektywicznym rzeczywiście usprawni ruch pieszy i samochodowy — istnieją takie warunki dla budowy wiaduktów (ktoś nawet obliczył, że tuneli i wiaduktów w całym mieście powinno być coś około 60). Ale z drugiej strony chodzi o wykonanie. Dlatego żadnego z tych obiektów nie lokalizuje się w określonym czasie? Realizacja bowiem zależeć będzie zarówno od możliwości finansowych i technicznych, jak również od siły, z jaką będą naciskać potrzeby określonego czasu.

Jak dotychczas, śródmieście Lublina nie miało zbyt wielkiego szczęścia w okresie powojennym. Nowe obiekty można tu policzyć na palcach, a niemal każdy wzbudza zastrzeżenia: architektoniczne straszydło DOKP, zbyt mały już dzisiaj PDT, przylepiona do sąsiedniej ściany Astoria, zbyt niska Unia, udający nieudolnie zabytek budynek PKO wciśnięta kolanami między inne obiekty na ruchliwym skrzyżowaniu Victoria...

Prawda, były także przyczyny obiektywne, iż tworzyliśmy nowe śródmieście tak właśnie a nie inaczej... Ale prawdą jest również, że wielu z nas nie wyzbyło się jeszcze tradycyjnego, a nieraz wprost małostkowego sposobu myślenia, że zbyt często brakowało nam perspektywicznego rozmachu, wyobraźni na miarę czasów, które nadchodzą szybciej, niż przypuszczaliśmy. A nawet — nie ukrywajmy — szybciej, niż wielu z nas sobie by tego życzyło.

Nie uciekniemy jednak przed nowym, dużym, rzeczywiście nowoczesnym Lublinem. Tworząc go dzisiaj i jutro musimy pamiętać, że będzie to już Lublin wieku XXI.

Jerzy Dostatni

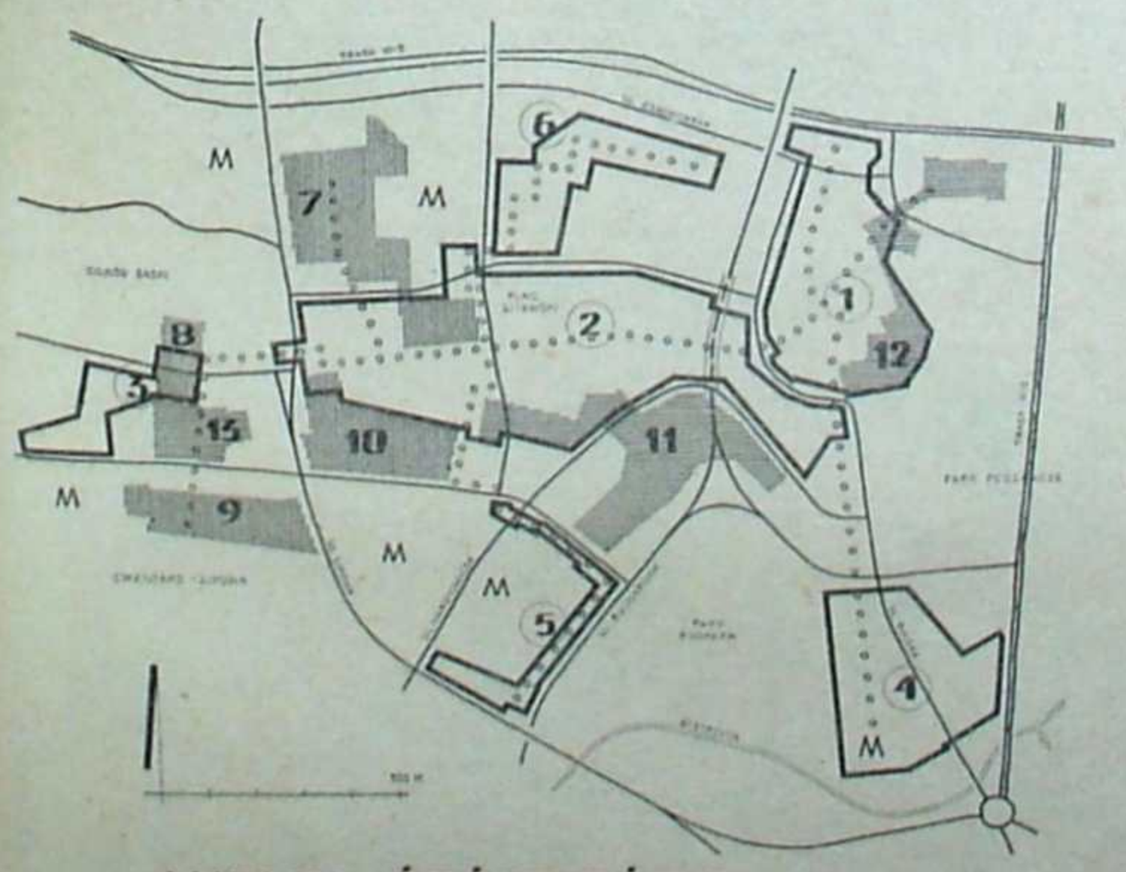

LUBLIN ŚRÓDMIEŚCIE
PLAN PERSPEKTYWICZNY

Na krakowskim straganie filmowym

Edward Kutermankiewicz

W DNIACH 2—5 czerwca odbywał się w Krakowie XIII Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Bezpośrednio po nim rozpoczął się X Festiwal Międzynarodowy, który trwał do 10 czerwca.

Krakowskie festiwale są imprezą znaczącą w naszym życiu filmowym. Dziesięć lat, nawet trzynaście, to jeszcze zbyt krótki okres, by mówić o tradycji, niemniej stały się te festiwale czymś niezbędnym, do czego przywykliśmy i na co oczekuje środowisko filmowe i publiczność.

W ciągu krakowskich dziewięciu dni krytycy, twórcy, dziennikarze, producenci i dystrybutorzy, publiczność i goście festiwalowi oglądają filmy, dyskutują, próbują uchwycić tendencje, zjawiska i wydarzenia w filmie krótkometrażowym. Kształtują się oceny i opinie. Kraków na krótki czas staje się prawdziwym centrum filmowym.

Przez ekran festiwalowego kina „Kijów" przewinęło się w tym roku 140 filmów konkursowych (57 w festiwalu krajowym i 83 w międzynarodowym). Jeżeli dodać do tego jubileuszowy przegląd retrospektywy laureatów Międzynarodowych Festiwali Krakowskich, pokaz filmów nagrodzonych w Oberhausen, pokazy sekcji informacyjnej festiwalu krajowego, przegląd „Tradycje Nauki Polskiej" i przegląd „Trzydzieści Lat Ludowego Wojska Polskiego" — okaże się, że jest to ogromna impreza.

Wokół krakowskich festiwali trwają nie kończące się spory. Jak bumerang w festiwalowych dyskusjach przewijają się sprawy selekcji filmów, poziomu szeregu pozycji, kryteriów itd, itp. Formuła krakowskiego festiwalu jest bardzo szeroka i zdradza ambicje uniwersalizujące. Nie dziw więc, że repertuar jest nad miarę urozmaicony rodzajowo. Trzeba się zgodzić, że przynajmniej w przypadku festiwalu krajowego ostateczny zestaw konkursowych pozycji jest w dużym stopniu reprezentatywny dla tego, co dzieje się w naszym krótkim metrażu. Tu zaś wniosek, że nie dzieje się najlepiej. Co z tego bowiem, że błysnął talentem Bohdan Dziworski, że interesująco zaprezentował się Piotr Andrejew („Idzie Mróz") czy Paweł Kędzierski i Marcel Łoziński („Happy-End"), a Syrenkę warszawską — nagrodę Klubu Krytyki Filmowej — otrzymał „Szum lasu" Zdzisława Kudły, skoro ogromna większość proponowanych filmów nie wybiegała ani poziomem, ani ambicjami poza formę telewizyjnego reportażu. Poważniejszych wydarzeń artystycznych, takich jak choćby ubiegłoroczne filmy Piwowskiego czy Waltera, w tym roku nie było.

Potwierdza to także zestaw nagród festiwalu krajowego. Grand Prix otrzymał film Bogdana Kosińskiego „Budowałem miasto" — portret budowniczego Nowej Huty ilustrowany bogatym materiałem archiwalnym, pokazujący drogę bohatera do społecznego i kulturowego awansu, prezentujący jego stosunek do świata — określany mozolną pracą, z perspektywy lat obrosłą romantyką. Obraz bohatera zderzony jest w finale z sylwetką jego syna, który ma zupełnie inny, obojętny stosunek do tych spraw. Zaskakująca i głęboko znacząca pointa. Ale wydaje się, że sama pointa to jednak jak na Grand Prix — trochę za mało.

O Bohdanie Dziworskim już wspomniałem. Autor m. in. znakomitych zdjęć do filmu „Na wylot", otrzymał „Srebrnego Lajkonika" za swój pierwszy samodzielny film „Krzyż i topór". Bez wątpienia był to jeden z najciekawszych filmów obu tegorocznych festiwali: pięknie fotografowany, stary Zamek Krzyż-topór, dowcipnie, bez mała żartobliwie opowiedziana jego historia przy pomocy chóru wiejskiego i strażackich sikawek.

Drugi „Srebrny Lajkonik" przypadł telewizyjnemu reportażowi Józefa Błahowicza i Krystiana Przysieckiego „Uroczysko". Pasjonujący temat. Dzielna kobieta i jej dwie córki, żyjące z dala od cywilizacji, w zapomnianym zakątku Bieszczadów. Bezpośredni kontakt z przyrodą dziką i niebezpieczną. Ona i inni bohaterowie tego filmu, jej sąsiedzi — młode małżeństwo — mówią o swym życiu i pracy, o codziennej, niebezpiecznej walce z dzikim żywiołem. Wystarczy przecież pokazać kogoś, kto stawiał czoła niedźwiedziom i wilkom, a przy tym umie odpowiadać. W tym też tkwi wartość filmu, bo do realizacji można mieć wiele zastrzeżeń.

Wśród nagrodzonych filmów festiwalu ogólnopolskiego warto wspomnieć o kilku. „Notatnik 14" J. Gębskiego i A. Halora: w tonie elegii, w nastroju skupienia i powagi — raz jeszcze o sprawach wojny; Piotra Andrejewa „Idzie Mróz", debiut realizatorski: wędrówka tropem inspiracji twórczych krakowskiego plastyka Daniela Mroza; animowany film Zdzisława Kudły „Szum lasu", temat: ochrona środowiska. Wyobraźnia realizatora buduje zdeformowaną do granic absurdu koszmarną rzeczywistość. Zaskakująca, pomysłowa pointa. W sumie znakomita publicystyka, w której film animowany coraz częściej odgrywa ważną rolę.

Krajowy festiwal nie przyniósł jednak rewelacji. Jego poziom w stosunku do lat ubiegłych wydaje się obniżać. Przytłaczają go „gadające głowy". O ile zazwyczaj przeciwstawiano krajowy międzynarodowemu z korzyścią dla tego pierwszego, w tym roku byłby to zabieg ryzykowny.

Festiwal międzynarodowy również zdaje się zbyt natarczywie korzystać z owej szerokiej formuły, jaką się legitymuje.

Zupełnie bowiem niezrozumiałe wydaje mi się, jak w tego typu imprezie mogą znaleźć się zwyczajne reklamówki w stylu „Cowboy się zmienia", zachwalające walory bydła rasy herford z przyczepioną na użytek festiwalu mini- i pseudo-publicystyką. Obok niego pokazano także urzekający poetyką i przejmujący głębokim humanizmem film Zoltana Husarika — „Anioł Pański", czy dowcipny żart rysunkowy „Potpourri" Kaluzy.

To, oczywiście, zaczyna być nieporozumieniem. Nic też dziwnego, że znów przedmiotem ataków stała się komisja selekcyjna.

Tymczasem jury, obradujące w tym roku pod batutą Jerzego Kawalerowicza, po długich i zawiłych debatach postanowiło uhonorować wielką nagrodą ministra Kultury i Sztuki — Grand Prix i Złoty Smok — film Andrzeja Brzozowskiego „Dziesięć dni pierwszych". Jest to reportaż z Hanoi nakręcony zaraz po zakończeniu działań wojennych w Wietnamie. Przebogaty to dokument, subtelnie zrealizowany, pełen znaczeń, każdą sceną pretendujący do uogólnień, obserwacją docierający do motywów ludzkich działań. Widząc życie codzienne mieszkańców Hanoi, można istotnie zrozumieć nieuchronność zwycięstwa w walce z obcą agresją. Ten blisko godzinny film-reportaż wydaje się jednak mimo swych wielkich i istotnych walorów cokolwiek niedopracowany.

W zestawie nagrodzonych pozycji znalazł się jeszcze jeden film reportażowy, laureat Srebrnego Smoka — „Zaczarowana wyspa" W. Lewina (ZSRR). Nagrodę specjalną Złotego Smoka otrzymał film radziecki Geralda Diegalcewa „Mosty Djujszona" — liryczna opowieść o rzecznym przewoźniku, który po wybudowaniu mostu szuka dla siebie innego miejsca, gdzie jego praca będzie ludziom potrzebna. Precyzyjna dramaturgia tego filmu tworzy zwartą, niemal fabularną konstrukcję.

Jeden z najpiękniejszych filmów pokazanych w tym roku w Krakowie, to „Rozkwitające dziewczyny" Francisa Leroy'a. Fotograf i jego modelki, piękne, delikatne jak ranna mgła, nieomal rozsiewające po sali zapach młodych ciał, wypielęgnowane kadry, stylizowane miejscami na obrazy Degas'a. Erotyk filmowy — pochwała subtelnej zmysłowości.

Nie zawiódł Piotr Kamler, który zaprezentował kolejną fantazję „Zapasowe serce", utrzymaną w sobie właściwym filozoficzno-poetyckim tonie, precyzyjną plastycznie i błyskotliwie animowaną. Drugą nagrodzoną kreskówką był „Idol" Bułgara Giergi Czawdarowa — żart utrzymany w znakomitym tempie, pełen arcydowcipnych gagów i zaskakujący mocną pointą. Wydaje się, że w animacji Bułgarzy mogą okazać się groźnym konkurentem słynnej szkoły zagrzebskiej.

Bardzo interesujący formalnie wydał mi się film „Czarna reklama" w reżyserii Michela Gardin, dysponujący znakomitym pomysłem wykorzystania tradycyjnych form włoskiej reklamy TV dla propagandy przeciw neofaszyzmowi.

Festiwal międzynarodowy mógł imponować mnogością form i technik filmowych, bogactwem rodzajowym i tematycznym. Jednocześnie jednak znów wracają poprzednie wątpliwości. Otóż wydaje się, że zawężenie formuły tego festiwalu jest konieczne. Winna ona być taka, by nie trzeba było klasyfikować tego, co nieporównywalne i by w ostatecznej instancji decydowały nie gusta, lecz kryteria.

18 grudnia Włodzimierza Sokorskiego

Stanisław Jan Królik

SPOTKANIE dyskusyjne w redakcji „Miesięcznika Literackiego" odbyło się pod hasłem: „Romantyzm we współczesnej literaturze polskiej" — natomiast zapis dyskusji ukazał się w nr 5 pod tytułem: „Bliżej współczesności". Niżej podpisany nie może powiedzieć słowami Kraszewskiego: „i ja tam byłem", mimo że smak miodu i wina nie jest mu całkiem obcy, ponieważ zaś uważa, że sprawy omawiane przed półroczem (już!) są ciągle aktualne i istotne dla literatury — nie będzie się starał unikać własnych komentarzy.

Wyraźnie widać w obu tematach dyskusji, że dotyczyła ona zjawisk ogólnych. Oczywiście nie obyło się bez precyzowania terminów i pojęć. Wydaje mi się właściwe dać własny kontekst sytuacji, w jakiej odbyła się ta historyczna (18 XII 72) rozmowa. Oto w ostatnim, agonalnym stadium dwutygodnika „Współczesność" największymi wydarzeniami artystycznymi omawianymi na jej („Współczesności") łamach było — z jednej strony — tłumaczenie „Ulissesa" Joyce'a, a z drugiej — propozycja poszerzenia terminu „realizm" do momentu, w którym może on ogarnąć m. in. twórczość Kafki (aby pozostać przy bardziej znanym przykładzie).

Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że obie propozycje, artystyczna i interpretatorska, były na grunt polski („Współczesności") importowane. „Ulisses" pochodzi z początku wieku dwudziestego, z kręgu literatury anglosaskiej. Natomiast „realizm bez granic", termin adoptowany (nie bez oporów) dosyć szybko, dotyczył (przynajmniej w wersji oryginalnej) literatury i sztuki pochodzącej z dwudziestolecia międzywojennego. Ten fragmentaryczny, ale reprezentatywny wybór pozwoli ustalić współczesność „Współczesności" (czasopisma), a przecież za kształt i pole penetracji pisma odpowiadali ludzie, dla pokolenia noszącego nazwę od dwutygodnika wziętą reprezentatywni, bo oni właśnie byli w najbardziej twórczym okresie życia.

W dyskusji przy redakcyjnym stole „Miesięcznika Literackiego" uczestniczyło piętnaście osób, które w mniejszym lub większym stopniu brały udział w wymianie zdań. Ponieważ zapis dyskusji ma charakter stenogramu, dlatego niecelowe by było referowanie kolejnych głosów.

Weźmy na serio chęć wzajemnego porozumienia się obu reprezentowanych stron. Tu uproszczony schemat:

Włodzimierz Sokorski (prowadzący)

Julian Kornhauser, Tadeusz Nyczek, Maciej Szybist.

Reszta: 11 osób

Wobec takiego założenia warto zwrócić uwagę na „oświadczenie historyczne" Stanisława Grochowiaka: w wystąpieniu, w którym interpretuje on swój artykuł programowy (z r. 1959) pt. „Karabela zostanie na strychu", mówi: „Karabela, która miała zostać na strychu — nie była karabelą w sensie wojskowym, w sensie patriotyzmu, ale była to karabela, którą wymachiwano w najrozmaitszych sporach, i to małych sporach politycznych. Tę karabelę postanowiłem sam osobiście zawiesić na strychu". A dalej: „I wydaje mi się, że postawa „zawieszenia" właśnie owej karabeli — była postawą romantyczną, to znaczy był to wyraz zaangażowania w sprawy społeczne." Poeta skończył, niech dopowie Gloger: „Karabel nie używano do boju, a nawet rzadko do pojedynków". Był to bowiem element dekoracyjny głównie, tak więc Grochowiak wieszał kiedyś mimowolną metaforę. Też romantyzm — bez odpowiedzialności za słowo, też historyzm — cecha konstytutywna prawzoru.

Włodzimierz Sokorski na początku dyskusji stwierdził, że romantyzm został zasygnalizowany wywoławczo, gdyż zjawiska w literaturze najnowszej zdają się być „jakąś próbą odniesienia do nurtu romantycznego, jakąś formą protestu przeciwko postawom konsumpcyjnym". To zagajenie, poparte wprowadzeniem Anny Bukowskiej, spowodowało całą lawinę definicji romantyzmu. Dyskutanci w ferworze polemiki zapomnieli, przynajmniej początkowo, iż nie tylko w dziejach literatury francuskiej romantyzm jest pojęciem bardzo szerokim. Można go używać tylko w odniesieniu do jednego okresu, no i w języku potocznym. Modny dzisiaj (szczególnie wśród doktorantów) Stanisław Brzozowski rozszerzył był bowiem ten termin niemiłosiernie. Jeżeli jest jeszcze jakiś pokład nie wyeksploatowany, to w tzw. romantyzmie krajowym. A może by tak?... Co innego mówić o postawie romantycznej.

Dyskusję zarejestrowaną w „Miesięczniku Literackim" można podzielić na kilka wyraźnie zarysowanych faz. Ponieważ trudno tu analizować wszystkie jej aspekty — zwrócę uwagę na, moim zdaniem, najważniejszy — może nie tyle dla samej literatury, ile dla klimatu, w którym literatura powstaje. Wcześniej trzeba jednak powiedzieć, że w dyskusji oprócz osób (15), brały udział również „Głosy", w zapisie podane kursywą. Wydaje mi się to świetnym uzupełnieniem wypowiedzi o romantyzmie. Taki to „Głos" pyta Juliana Kornhausera: „Jeżeli wasz bunt jest buntem, jak pan mówi, społecznym, to dlaczego wasze wiersze mają tak małe oddziaływanie społeczne, kiedy nasz bunt rzekomo literacki jednak spotkał się z wielkim oddźwiękiem społecznym?" Po tym pytaniu następuje przesłuchanie poety z Krakowa, szczególnie przez Michała Sprusińskiego. Ta faza kończy się oceną Kornhausera: „Program był bardzo ambitny i nie przeczę, że podobny do programu naszego pokolenia, ale kto go zrealizował?" Na to Sprusiński: „Szkoda, że Pan tego nie powiedział na początku". Świadczyć to może, że przynajmniej w tym punkcie nastąpiło porozumienie.

W społeczeństwie na niskim poziomie rozwoju odbywały się pasowania na pełnoprawnego członka społeczności. Pod okiem starców (którzy przy nieznajomości pisma kryteria zawierali tylko w doświadczeniu) delikwent musiał spełniać zwyczajowe obowiązki. Tak było. Nie jest krzepiące, że tak jest. Nie tylko Zbigniew Bieńkowski odprawia pokątne, acz publiczne inicjacje. Krytyk dopuszcza (lub nie) mody, potem często je gasi. Potrzebuje do tego nikiforków, nie ma wcale ochoty walczyć z artystą w imię jego wytworów i w interesie jego wytworów, jak chciał kiedyś Stanisław Witkiewicz.

Nowa czy też młoda kultura nie może sobie na to pozwolić. Nie skreślam nazwisk — jedynie zasadę. Wydaje mi się, że o ile całkowite, natychmiastowe zerwanie z tym, co było przedtem, nie jest dla wstępujących możliwe (dotyczy to np. sprawy języka), to pozwolenie na upodrzędnienie swoich dokonań dotychczasowej krytyce literackiej byłoby równe samobójstwu. Tę niemożność całkowitego zerwania z bezpośrednią przeszłością wytłumaczą słowa wypowiedziane przez Tadeusza Nyczka: „Niemal każdy z nas terminował literacko w zupełnie obcych sobie układach sytuacyjnych, w nie swoich pismach, nie swojej ideologii i estetyce. Cała nasza krakowska trójka jest na przykład produktem „Życia Literackiego", bo było to wtedy jedyne „pod ręką" pismo, dzięki któremu dało się w ogóle istnieć na literackim rynku". Bez chwili zastanowienia gotów jestem powiedzieć, że osobiście zazdroszczę tego, co w Krakowie było „pod ręką". Znam takich zazdrośników więcej.

W każdej (autentycznej) dyskusji racje poszczególnych osób uzupełniają się i dopiero suma tych racji stanowi plon. Z tego względu nie można nie odnotować fragmentu wypowiedzi Sprusińskiego, który pokoleniu wstępującemu życzy, by „nie straciło po kilku latach, w wyniku podobnych molestacji, korekt i podobnej doń nieufności, wiary w sens słowa, w granice otwarte literatury, która względów się wyrzeka". Konieczne przypomnienie — Michał Sprusiński zaskoczył nie tak dawno wszystkich czytelników książką, w której ewidentnie poszedł ku historii literatury i od współczesności — pisanej z małej czy dużej litery (w cudzysłowie czy bez) — znalazł się daleko.

Jak chyba wyraźnie widać ze schematu dzielącego uczestników dyskusji, mowa musiała być o „współczesności" (jako pokoleniu) nie tylko dlatego, że w opozycji do poprzedników określa się zawsze następca. Przewaga ilościowa wyraźna. Jeszcze jedna uwaga o „pokoleniu 1956" — chyba nigdy dotąd, przy żadnej okazji, nie zostało ujawnione to, ile wartości pozytywnych pokolenie to niosło. Nie ma przecież sensu negowanie czegoś, co nie istnieje — przez swoją społeczną egzystencję chociaż. Opozycja wobec rutyny, negacja koniunkturalnego odejścia od rzeczywistości — w tym miejscu strata czytelnika, który kiedyś zawierzył i został porzucony — oto cele. Ciężki spadek dźwigają wstępujący. Anormalna sytuacja — Bryll, który cynicznie stwierdził, że wątroby prometejskiej badacz u niego nie znajdzie, kreowany jest na wieszcza narodowego, bo podchwycił schemat, którym cenieni pisarze się wypowiadali. Trochę tego mało.

Chwała Sokorskiemu, że zorganizował takie spotkanie, mimo że co do warunków, w jakich znaleźli się dyskutanci, można mieć zastrzeżenia, a czas pracuje szybciej niż poligrafia — pewnikiem w poczet muz leniwych zaanektowana.

Nie sposób wyczerpująco dotknąć wszystkich kwestii poruszonych w „Miesięczniku Literackim", co dopiero mówić o szerszym tle, „krakowskim" numerze „Nowego Wyrazu" (5 z br.) choćby. Pragnę tylko rzucić stwierdzenie: nową sztukę charakteryzuje (w chwili obecnej) opozycja: wielkość poruszanych zagadnień — chęć posługiwania się językiem maksymalnie odmetaforyzowanym, by nie tracić potencjalnego czytelnika. Oby druga tendencja nie zniszczyła pierwszej.

Fot. A. Polakowski

POD KOLOREM NIEBA

Marek Żenni

POKRĘTNE sosny otaczały dom i w piasku podwórza pełno było zmarłych igieł. — Dlaczego mnie nie obudziłeś? — Lidka szła w stronę studni krzywiąc się od ukłuć. Była już w swoim wrzosowym kostiumie kąpielowym, który pasował do jej włosów i opalonego ciała. I który lubiła również dlatego, że żadna dziewczyna nie miała podobnego w tym prowincjonalnym kurorcie. — Ładnie wyglądałaś przez sen. — Leżała naga na tapczanie, a przez okno wpadał chłód poranka i głosy ptaków dziobały powietrze w ukośnym słońcu.

Związała włosy, aby nie przeszkadzały przy myciu. Grubonoga córka gospodarza pozdrowiła ją z progu letniej kuchni, małego, osobnego domku z cegły. Przyglądała się Lidii uważnie, z sympatią i wyobraziłem sobie, że porównuje swoje różowe, porośnięte prosiaczkowato nogi i jej, mocne, smukłe i opalone. Uśmiechnęły się równocześnie, a Lidka podniosła dłoń miejskim ruchem. Była piękna i młoda i wszyscy kochali ją, a ona wiedziała o tym i kochała wszystkich.

Umyła się, a kiedy wycierała twarz niebieskim, frotowym ręcznikiem, ze stodoły wyszedł nasz gospodarz i zaniósł do kuchni krwawy ciężar. Przeszedł lekko i szybko, uśmiechnięty jak zawsze, trzymając w prawej ręce mięso, a w lewej czerwony kieł noża. Córka odsunęła się, a potem znów usiadła na progu. Zobaczyła przestrach Lidki i jej rodzinny uśmiech stał się nieco złośliwy.

— Co on niósł? — Nie wiem. — A ja wiem. To był cielaczek. Słyszałem w nocy, jak piszczał. — Cielaczki nie piszczą. — Muczał okropnie. — Cóż robić: cielaczki jedzą trawę, my jemy cielaczki, nas jedzą robaki.

Jednak ta filozofia nie pocieszyła jej ani trochę. Wieczorem poprzedniego dnia zajrzeliśmy do obory, gdy gospodyni doiła krowę. W osobnej przegródce stał brązowy cielaczek i bardzo przestraszył się, kiedy go dotknąłem. Podskoczył do góry i zaczęła mu się trząść skóra. Potem znajomość została zawarta, polizał rękę Lidki i zaczął zjadać ukradkiem moje spodnie. Cofnąłem się, a na kolanie została mokra plama. Obecnie sam cielaczek zmienił się w plamę i nic na to nie można było poradzić. — Chodźmy, Klaudiusz czeka.

Umyliśmy zęby naszą wspólną szczoteczką i wróciliśmy do pokoju, w którym mieliśmy tapczan, stół, krzesła, szafę i lustro. Żelazko do prasowania pożyczaliśmy od gospodyni. Lidka uprasowała sukienkę i moją koszulę, które dobrała, żeby pasowały kolorami. Lubiła ubierać się rano inaczej niż wieczorem, ale to było trudne, bo nie mieliśmy licznej garderoby.

Przeszliśmy kamienistą uliczką tonącą w piasku, słońcu i nudzie. Między starymi babami, które obgadywały nas beznamiętnie, siedząc na zmurszałych ławach pod płotami. Obok cmentarza i kościoła prowincjonalnie białego i mocnego. Potem był most przy młynie, który zmodernizowano i zamieniono na prądnicę zasilającą gromadę domków kempingowych. Rzeka pachniała zielono i puszczała się pędem przez oślizłą rynnę, nad którą zawisnął kamień do prania bielizny wytarty kolanami kobiet.

Za groblą zaczynał się zalew.

Przy zachodnim brzegu wytyczono kąpielisko między dwoma pomostami. Przy północnym unosiło się molo, pomost kajakowy, hangar, w którym królował pan Fredek i buda, pod którą przez całe lato, co sobota, odbywały się potańcówki. Najlepsze zabawy były później, kiedy już wczasowicze odjechali, a wieczory były chłodne i komary nie gryzły. Przychodzili wtedy żołnierze z akordeonem i miejscowe panny. Grali i tańczyli, że aż buda chwiała się na palach wbitych w dno i trochę podgniłych, a wszyscy czuli, że lato kończy się. Słońce ciągle było ukośne, hangar pana Fredka zamknięty od środka, a Klaudiusz spóźniał się.

Ptaki śpiewały na kolorze nieba. Widziałem upartą wędrówkę słońca, braterstwo wiatru i wody, dotykały mnie włosy Lidki i w każdej chwili mogłem pieścić ją, czułem jej zapach, a od czasu do czasu wiatr przynosił zapach moczu i chlorku z latryny umieszczonej w pobliżu, dla wygody plażowiczów. Pomiędzy pomostami unosił się łagodnie na fali sznur z pływakami zrobionymi z puszek po farbie, które przyczepił pan Fredek, z zawodu malarz pokojowy.

Po tamtej stronie zalewu widać komin tartaku i wzgórza trocin, a dalej wydmy i las. Wydmy na jesieni rozkwitają wrzosowo, wiatr zasypuje rozbite butelki i jest tam cicho i pięknie.

Wskoczyłem do wody i przepłynąłem pasy zimne i ciepłe, bo woda nagrzewa się szybciej tam, gdzie jest płytko. Zawróciłem, a kiedy byłem blisko, Lidia weszła ostrożnie do wody i dumnie podpłynęła do mnie, bo tego lata nauczyłem ją pływać. Włożyłem rękę pod kostium. Lidka miała piękne piersi tego lata. Kostium skupiał je, tak że powstawał słodki dołek, który uwielbiałem całować.

— Klaudiusz jedzie! — Uważałem, że mógł sobie wybrać inny moment. Lidia zobaczyła go pierwsza, z jej oczami nie było tak źle, ale uważała, że ma słaby wzrok i wkładała okulary oschłej intelektualistki. Klaudiusza można było poznać po skrzywieniu szyi i nierównym pedałowaniu. Miał jeszcze do pokonania piaszczyste zagłębienie, które było trudną przeszkodą. Nabrał wielkiego pędu i zatrzymał się obrzucając nas piaskiem. — Uważaj, Klaudiusz, obsypałeś mnie całą! — Piasek to nie choroba, nic nie szkodzi.

Później położyliśmy się na kocu, więc powstały dwie kałuże, ale Klaudiusz wybaczył je nam. Zdjął koszulę i zaczął rozsznurowywać trampki, co nie było takie proste. — Lidia, czy możesz mnie posmarować?

Lidka wzięła z jego ręki dermosan i natarła mu plecy. Podejrzewałem, że Klaudiusz prosi o to wszystkie znajome dziewczyny na plaży. — Czy już dobrze pływam, Klaudiusz?

— Tak, bardzo dobrze. Nie wiedziałem, że Cielaczki tak świetnie pływają... — Nie jestem już Cielaczkiem. — Pasuje do ciebie to przezwisko, masz takie brązowe oczy... — Skończone z Cielaczkiem. — Rozumiem.

Ale nie rozumiał, a mnie nie chciało się gadać i wyjaśniać, co widzieliśmy rano. Musiałem znaleźć jakąś inną nazwę dla Lidki. Patrzyliśmy wszyscy troje w wodę, a słońce osuszało nas i rozgrzewało delikatnie. Klaudiusz nie zdejmował spodni. Kiedy tak siedział z opalonym i muskularnym torsem, czarnowłosy, wyglądał przystojnie i zapominało się o jego zwiędłych nogach. — Musimy teraz iść na śniadanie. Zaczekasz tutaj! — Oczywiście.

Lidka włożyła sukienkę na mokry kostium, a ja wziąłem spodnie i koszulę w rękę. Resztę rzeczy zostawiliśmy, Klaudiusz ich pilnował. Poszliśmy przez plażę nie oglądając się, potem skręciliśmy na asfaltową ścieżkę przecinającą łąkę. Słońce zaczęło już roztapiać smołówkę i stopy przyklejały się. Pomachałem Klaudiuszowi ręką, ale on tego nie zauważył. Wtedy pomachała Lidka i Klaudiusz odpowiedział: — No widzisz. Klaudiusz kocha się w każdej nowej dziewczynie, która przyjedzie do miasteczka. — To nieprawda.

Droga wspięła się na wzgórze pokryte gałęziami jabłoni, pod którymi schowały się namioty, i znikła w bramie Zamku. Budowla w stylu kombinowanym, rycersko-złodziejskim, atakowana była przez oddziały zielonych mundurków, uzbrojone w łyżki i menażki. Z małych okien wypadały pociski słów, piosenki, przekleństwa. Fala szturmu porwała nas i zaniosła na wewnętrzny dziedziniec. Dwie kucharki jak baszty w białych fartuchach trzymały straż przy parującym kotle z owsianką. Pokonałem ich oporne spojrzenia i wziąłem dwie kanapki z żółtym serem.

Lidka denerwowała się, gdy dawały jej mniejszą porcję. Uważała, że to niesprawiedliwość. One jednak traktowały wszystkich jednakowo sprawiedliwie: mniejsza osoba, mniejsza porcja.

— Jeśli chcesz, zabiorę im jeszcze jedną!

I zabrałem. Za nami usiadł Komendant w towarzystwie dwóch pań w wieku kwiecie, bynajmniej nie wycofujących się do klasztornego zacisza oraz pan Fredek, przyjaciel Komendanta i stołownik Zamku. Komendant eksponował czarno zarośnięty i zadowolony z siebie brzuch. — Smacznego. — Smacznego.

Ładna dziewczyna w koszuli związanej pod piersiami tak, że ukazywała plecy i pępek (moda zamkowa), pozdrowiła Lidkę i nie zaproszona przeszła do innego stolika. — Miała ochotę przysiąść się do nas. Imponujesz im swoim zepsuciem. — Ona jest bardziej zepsuta niż ja. — Ty wcale nie jesteś zepsuta, żartowałem. — Tak. Wiem, że tak myślisz. Ale możesz być pewny, że gdybym cię nie kochała, nie mieszkałabym z tobą, tylko grzeczniutko w obozie z tymi idiotkami.

Na zalewie pokazała się żaglówka. Dreptała w miejscu jak gołąb ze związanymi skrzydłami. Doktor B. zadawał żeglarskiego szyku. Plażę pokrył tłum ciał, dętek, słonecznych parasoli, gumowych materaców. Niebo na zachodzie pociemniało. — Będzie burza. — Och, nie! — W porządku, przejdzie bokiem.

Lidia nie lubiła burz.

Skończyliśmy jeść i odeszliśmy, odprowadzani bystrymi oczkami Komendanta. Powiedział coś do swej asysty, tamci obejrzeli się za nami i roześmieli. Musiałem więc znaleźć sposób na Komendanta. Wróciliśmy na plażę. Lidka zdjęła sukienkę i położyła się obok Klaudiusza, który zdążył zasnąć, obserwowana nieznacznie przez facetów z pobliża. Byli jak głodne psy i złościło mnie to, ale Lidia nie zwracała na nich uwagi. Poszedłem na pomost, bo asfaltową ścieżką prul oddział z ręcznikami i kołami ratunkowymi. Nad łąką dzielnie leciała piosenka. Przez dwie godziny byłem unieruchomiony. Pilnowałem, żeby nie pomordowali się w wodzie. Na pomoście było chłodniej, bo wiatr szedł od wody, znosił krople na twarz i podwiewał sukienki dziewczynom. Oddział dotarł do kąpieliska. Policzyłem ich dwa razy i pozwoliłem wejść do wody. Rozpoczęli

Rys. E. Ingiot

pływanie: wlazili sobie na ramiona i skakali na głowę na głębokości pół metra, wyciągali muł z dna i rzucali, pluli na siebie, dusili się itp. Zagwizdałem na sztormowym gwizdku. Piekielny dźwięk oczarował ich i skierował rozmarzone oczy w moją stronę. Wtedy kazałem im wyjść. Przez łąkę szła druga grupa. Policzyłem ich dwa razy.

— Fajrant. — Nikt się nie utopił? — Dzisiaj nie, może jutro. — Popływasz, Lidka? — Tak. Klaudiusz, chodź z nami! Chyba ci gorąco? — Nie, jestem twardy! Czy wiecie, że do czternastego roku życia poruszałem się tylko na czworakach? Jak zwierzę. Musiałem pokonać samego siebie. — Jesteś wspaniały facet, Klod.

Pożyczyliśmy nadmuchiwany materac. Jedna osoba mogła pływać na nim swobodnie, z dwoma było trudniej. Lidka położyła się na materacu, a ja na niej, ale spadliśmy. Potem ja się położyłem, a Lidka usiadła na mnie jak na koniu. Brzegiem przeszedł Komendant w krótkich zielonych gaciach, które podtrzymywały jego bojowy brzuch. Pogroził nam gałązką, ale nie zauważyliśmy tego. Później oddaliśmy materac małemu facecikowi, który miał już niepewną minę i natychmiat pobiegł do mamusi dźwigając na głowie gumową własność.

Wskoczyłem jeszcze do wody, aby się rozgrzać, bo na materacu słońce piekło w plecy, ale brzuch mi zmarzł. Stanąłem w wodzie i popatrzyłem na ten cały harmider. Woda przynosiła wrzaski, muzykę i gwizdki kolegi — ratownika. Zobaczyłem, jak Lidia idzie na pomost. Usiadła na końcu i opuściła nogi do wody. Potem na pomost wszedł Komendant, stanął za Lidką i powiedział coś, ale Lidka nie usłyszała. Wtedy połaskotał ją w kark gałązką. Lidka wstała i poszła do Klaudiusza, a ja już płynąłem do pomostu. Dogoniłem Komendanta na brzegu i wziąłem go pod ramię. Myślał, że będę nieuprzejmy i sflaczał dostrzegalnie. Przedstawiłem Lidię jako moją narzeczoną i poprosiłem o szacunek dla niej. Komendant przeprosił mnie i zaprosił nas oboje (kiedyś, przy okazji) na harcerskie ognisko, na pieczoną kiełbaskę. Rozmowa upłynęła w atmosferze wzajemnego zaufania i przyjaźni. Gawędząc tak po harcersku uszliśmy kawałek, Komendant wyławiał z tłumu nagusów znajome postacie i kłaniał się lub odkłaniał, w miarę potrzeby.

Lidia czesała Klaudiusza (poprosił o to). Położyłem się za nią i pocałowałem ją w opalony tyłeczek, który wysuwał się z majtek. Klaudiusz zauważył to, ale udał że nie widzi. Lidia pochyliła się i pocałowała mnie w szyję, a Klaudiusz znów udał, że nie widzi. Było południe: błysnęła zagarkiem ręka tłustej kobiety, wszystkie tranzystory jak na komendę zaczęły nadawać hejnał z Wieży Mariackiej.

— Musimy już iść, Klaudiusz. — Poczekajcie, pójdziemy razem. Ostatnio trudno mu było wytłumaczyć, że od czasu do czasu wolimy być jednak sami. Przytrzymałem mu rower za siodełko, ale wyrwał się i ruszył bez słowa. — Nie pomagaj mu, Klaudiusz chce być samodzielny. — Jestem jego przyjacielem i dlatego chcę mu pomóc. — Upokarzasz go tylko. — Zakochałaś się w Klaudiuszu?

Pojechał przodem, ale gdy szliśmy ulicą miasteczka zjawił się i okrążał nas szybkim i chwiejnym lotem nietoperza. Zaproponował zwiedzenie cmentarza, bo właśnie szliśmy wzdłuż białego muru, za którym drzewa obiecywały odpoczynek. Drewniana ściana małego kościółka cmentarnego, który otwiera się tylko raz do roku na Święto Zmarłych, pokryta była rodzinami blaszanych tabliczek. Między innymi było tam i nazwisko Klaudiusza. Więc obejrzeliśmy marmurową świetność jego przodków, kupców i lekarzy z miasteczka. Lidia słuchała Klaudiusza, a ja poszedłem zobaczyć resztę zgromadzenia byłych obywateli. Te aniołki: Wioletta L. lat 3, Andrzejek C. lat 12 (były żeglarz). Te dramaty: Apoloniusz Z. (lotnik), Jan L. („zginął od bandytów..."). Te oczywistości: Anna N., panna, lat 79.

Klaudiusz trzymał dłoń Lidii. Puścił ją, kiedy się zbliżyłem. Nie widziałem w tym nic złego, bo był moim przyjacielem. Opowiadał o swoim domu. Nie tym, gdzie obecnie mieszkali, ale o tym, który jego ojciec wybudował za osiemset tysięcy, lecz nie zdążył wykończyć, bo przeszkodziła mu choroba. Pokazał go nam. Był naprawdę wielki, nowoczesny, z tarasami, z krytym podjazdem, z garażem na dwa samochody. Wielki był. Ale okna miał zabite deskami i wewnątrz znajdował się tylko piec centralnego ogrzewania nie podłączony, martwy jak serce bez żył. Ojciec Klaudiusza był świetnym lekarzem, zanim nie zachorował, i świetnie zarabiał, zanim nie zaczęli go szykanować z powodu tej choroby.

Dom piękny, ale piasek i stare papiery zasypywały tarasy. Mijaliśmy go codziennie idąc na plażę, jednak nie wiedzieliśmy, że jest domem Klaudiusza. Klaudiusz uśmiechał się. Był wciąż w swoich trampkach i polskich dżinsach, ale wydał mi się jakby wyższy. Pokazując, gdzie będzie jego pokój, uśmiechał się.

Zaprosił nas na kolację. — Przyjdziecie? — Postaramy się. — Będzie przyjemnie.

Odjechał nareszcie. Wróciliśmy do naszego pokoju i kochaliśmy się, a potem spali. I nagle był już wieczór. Lidka włożyła inną sukienkę, a ja inną koszulę (które jednakże pasowały kolorami) i poszliśmy do Klaudiusza.

Wszystko było już przygotowane: symetria serwetek, łyżeczek, widelców. Zapalono lampę, która odbiła się w starych politurach. Do stołu zasiedliśmy we trójkę. Klaudiusz bawił nas przez chwilę rozmową inteligentną i pasującą do owych starych mebli i pory dnia. Weszła jego matka z wazą pełną gołąbków w sosie pomidorowym. — Jak spędzacie państwo wakacje? Czy podoba się nasze miasteczko? Klaudiusz opowiadał mi wiele o pani. Jest pani taka młodziutka. Jeszcze gołąbeczka? Proszę. — Dziękuję.

Patrzyłem z boku: sympatia dla dziewczyny (młoda i piękna i wszyscy kochali ją), aluzje do zrozumienia, jeszcze raz opowiadanie o domu, który kosztował osiemset tysięcy, uśmiech haczykowaty, wspólnota gołąbkowa, ręka Klaudiusza przypadkiem dotykała ręki Lidii. Zostałem z boku. Rozmowa o domu: wykończenie odwleka się przez ojca „który zawiódł nadzieje". Nie zrozumiałem tego i zapytałem, gdzie jest obecnie ojciec Klaudiusza.

Okazało się, że w domu, ale zmęczony odpoczywa.

Nieoczekiwanie wszedł do pokoju. Pocałował rękę Lidki i przywitał się ze mną. Usiadł w swoim ulubionym fotelu, który znałem z opowiadania Klaudiusza, opierając na poręczach dłonie masywne, porośnięte czarną szczeciną, ale delikatne w dotknięciu. Uwierzyłem teraz Klaudiuszowi, mówił mi o tym, że jego ojciec przyszył odciętą w tartaku dłoń człowiekowi, który obecnie ma sprawną rękę. Tylko jeden palec pozostał nieruchomy!

Ojciec Klaudiusza pozwolił nałożyć sobie gołąbki, ale nie ruszył ich. Nie zwracając uwagi na żonę, próbującą wywabić go z pokoju, opowiedział nam, jak zaraz po wojnie był jedynym lekarzem w miasteczku i ludzie z całej okolicy przyjeżdżali do niego o każdej porze dnia i nocy. Później zorganizowano służbę zdrowia i kierował jednocześnie dwoma szpitalami. Zaczęły się jednak kłopoty, bo ludzie nie rozumieli jego przyzwyczajenia. Nazwał łagodnie przyzwyczajeniem coś, co kojarzyło mi się dotąd ze szpitalem dla umysłowo chorych i ze śmiercią. Pozbawili go pracy, ale ludzie nadal przyjeżdżali do niego z całej okolicy o każdej porze dnia i nocy, bo woleli jego od tamtych lekarzy. Wtedy pozbawiono go prawa praktyki prywatnej, lecz pozwolono pracować w ośrodku zdrowia, tyle że w innym miasteczku. A on nie ma czasu na dojazdy. Życie jest na to za krótkie. Czy mu wierzymy? Ludzie są beznadziejni: zagryzają się, opluwają, w przerwach sadzą kwiatki i idą do kościoła.

Pochylił się ku nam, jak duże, siwiejące dziecko szukał zrozumienia i pocieszenia. Matka Klaudiusza dawno wyszła do kuchni, a Klaudiusz patrzył na ojca z dziwnym wyrazem twarzy, po którym poznałem, że ten manifest nie jest dla niego nowością i że powinniśmy już odejść. Wziąłem Lidię za rękę i wyszliśmy. Księżyc złoty i wielki jak na plakacie „Visitez la Pologne"! toczył się po grobli, na której bielały koszule chłopców i sukienki dziewczyn splecione ramionami.

Wieczór był piękny i wszyscy kochali się.

ZAMOJSKA SZKOŁA GUSTU

Ireneusz J. Kamiński

LICEA sztuk plastycznych były kiedyś szkołami dobrego smaku i wstępem do rozczarowań. Przekazywały wiedzę o sztuce oraz pewną umiejętność posługiwania się pędzlem czy węglem, co było bardzo przydatne w momencie startu absolwentów do wyższych szkół artystycznych. Kiedy jednak próby kontynuowania nauki kończyły się fiaskiem, „plastyczny" maturzysta szedł na zieloną trawkę, albo do biura, obnosząc w sercu żal do świata. Kształcony w atmosferze artystowskiej, przekonany o swojej wyjątkowości, trafiał do środowiska, którego nie wzruszały jego szczególne predyspozycje — niestety, nie uwierzytelnione świadectwem kwalifikacji zawodowych. Licea sztuk plastycznych miały bowiem charakter szkół ogólnokształcących i żadnych uprawnień do wykonywania zawodu nie dawały. W najlepszym wypadku dawały natomiast większe szanse studiów w akademiach sztuk pięknych, co nie znaczy, że gwarantowały łatwy dostęp do tych uczelni, szturmowanych przez setki kandydatów.

Od 1966 roku zaczęto więc przekształcać te szkoły w kierunku profesjonalizacji ich profilu, co wiązało się z coraz większym podporządkowaniem Ministerstwu Oświaty i Wychowania, przy zachowaniu formalnej i po części merytorycznej przynależności do resortu kultury. Ten dualizm władzy do dziś powoduje pewne napięcia, albowiem pokrewne ministerstwa nie mają identycznych celów działania. Ponieważ jednak muszą żyć w jakiej takiej zgodzie, posługują się często wyjściem zapasowym o nazwie kompromis, co łatwo odczytać w programach szkolnych i sposobach ich opracowywania. Problem ten zostanie zapewne rozwiązany w najbliższych latach, prawdopodobnie na korzyść Ministerstwa Oświaty, zgodnie z aktualnymi trendami w polityce społecznej, których ilustracją ponowne łączenie powiatowych wydziałów kultury z wydziałami oświaty, przy całkowitym puszczeniu w niepamięć przedziwnej hybrydy, jaką były powiatowe komitety kultury i sztuki, jeszcze pół roku temu mocno reklamowane przez okolice stołecznej Kordegardy. Tak czy inaczej już teraz licea plastyczne mają charakter zawodowy, warto więc zobaczyć, czy fakt ten polepszył sytuację życiową ich absolwentów — posługując się przykładem szkoły zamojskiej.

Istnieje od 1945 roku i do tej pory wydała dyplomy ok. 650 młodym ludziom, głównie dziewczętom; w minionym roku szkolnym chłopcy stanowili zaledwie jedną czwartą ogółu uczniów (190), co nie budzi entuzjazmu dyrekcji, mimo że ma ona postać żeńską. Jeśli chłopiec decyduje się na liceum plastyczne, z reguły kieruje się racjonalnym myśleniem i można być pewnym, że szkołę skończy, czego nie można powiedzieć o płci odmiennej.

Absolwent liceum zamojskiego otrzymuje tytuł „technika sztuk plastycznych w zakresie pamiątkarstwa"; planuje się wprowadzenie specjalizacji w dziedzinie „form użytkowych". Potrafi on robić rzeczy ładne, poszukiwane i wymagające znacznej sprawności dłoni i poczucia estetyki: od drobiazgów pamiątkarskich począwszy, a na krzesłach, szafkach, zydlach skończywszy. W zasadzie wszyscy absolwenci mogą liczyć na zatrudnienie, ale po części poza Zamościem i województwem lubelskim, a także nie zawsze w wyuczonym zawodzie. Opuszczają miasto z dwóch względów: bo ze znalezieniem tu pracy nie jest łatwo; bo pochodzą z różnych rejonów kraju — z Warszawy, Wrocławia, Olsztyna — i z oczywistych względów powracają do miejsc rodzinnych.

Istotne, że liceum uruchomiło cały system zmierzający do racjonalnego zatrudnienia swoich techników, zgodnie z ich kwalifikacjami. Tak więc przy wyborze praktyk wakacyjnych preferuje się tu zakłady, których profil produkcyjny odpowiada programowi dydaktycznemu szkoły, a sytuacja kadrowa stwarza szansę zatrudnienia młodych techników. Interesująco i obiecująco układa się w tym względzie współpraca ze Spółdzielnią CEPELIA w Leżajsku, zajmującą się wyrobem tkanin artystycznych, która przyjęła 10 uczniów na praktyki wakacyjne oraz podarowała liceum kilka krosien. Nie koniec na tym: spółdzielnia pragnie uruchomić w Zamościu swoją filię — pod patronatem artystycznym szkoły! Placówka zatrudniłaby wstępnie dwadzieścia kobiet, co dla znających sytuację na zamojskim rynku pracy jest faktem wystarczająco wymownym. Zresztą miasto wyczuło, jak to się mówi, interes i myśląc o przyszłości, oddaje spółdzielni działkę pod budowę hali produkcyjnej, w której pracować będzie 200 kobiet. Gdy do tego dojdzie, z kolei CEPELIA obejmie patronat nad szkołą, licząc na napływ projektantek właśnie z liceum.

Dotychczas technicy zamojscy znajdowali pracę w spółdzielniach artystycznych kraju, w fabryce porcelany w Ćmielowie, w CORA, w wytwórni ceramiki w Krasnymstawie, w szkołach zawodowych, jako dekoratorzy i opiekunowie świetlic. Ponadto mogą oni, w ramach CEPELIA, podejmować pracę nakładczą — mogą, ale raczej nie chcą, albowiem to żmudne i czasochłonne zajęcie. Żaden z absolwentów nie znalazł się w tak trudnej sytuacji, która zmusiłaby go do szukania pomocy i poparcia u zamojskich władz partyjnych, szczególnie zresztą przychylnie ustosunkowanych do szkoły, jakoś mieszczącej się w tutejszej tradycji.

Inna sprawa, że do tej pory nie unormowano ważnej kwestii udziału absolwentów liceum przy renowacji zabytkowych dzielnic Zamościa. Co prawda 10 uczniów kieruje się w tym roku na praktyki wakacyjne do Pracowni Konserwacji Zabytków — znają przecież tworzywo, robotę rzeźbiarską, mają wystarczające pojęcie o sztuce — lecz możliwości przyjęcia przez PKZ absolwentów szkoły w charakterze stałych pracowników wydają się być ograniczone. Tak przynajmniej twierdzą znający sprawę. Czy rzeczywiście? Odtwarzanie elementów elewacji zabytkowych obiektów — po odbyciu ukierunkowanej praktyki — to robota dla wielu ludzi, dla ludzi o wrażliwej dłoni i cieplejszym stosunku do tradycji artystycznej, a więc chyba dla techników szkoły zamojskiej?!

„Ruch" budowlany w Zamościu w inny jeszcze sposób daje o sobie znać Państwowemu Liceum Sztuk Plastycznych. Wiele bowiem sygnałów wskazuje, że internat szkoły zostanie zamknięty jeszcze w tym roku. I wówczas stanie ona przed problemem szalenie kłopotliwym: gdzie ulokować uczniów i dwunastu pracowników mieszkających w internacie, gdzie i jak zabezpieczyć majątek ruchomy wartości 1,5 mln zł, znajdujący się w budynku, jeśli z braku miejsca spoczywają w magazynie podarowane przez CEPELIA krosna? Liceum nastawione jest na drenaż młodzieży ze wsi, lecz ilu chętnych pozyska, nie dysponując internatem?

Sądząc po możliwościach zatrudnienia absolwentów, szkoła zamojska odpowiada na zamówienie społeczno-gospodarcze. Ale nie wydaje się trafne ujmowanie jej statusu tylko w kategoriach produkcyjno-ekonomicznych. Humanistyczna tradycja miasta bez przedłużenia w życiu współczesnym będzie zaledwie martwą starożytnością, skazaną na zachłanność hetmańskiego grzyba.

PODSPARAGRAFEM

Sprzedawczyni

W ŻYCIU ostatnio zdarzają się śmierdzące aferki, głośne w całej Polsce. A to ze znaną sportsmenką, a to ze znanym aktorem. I wszędzie szmal, hektary szmalu. A ja postanowiłem napisać o sprawce za złoty trzydzieści i w dodatku zeszłorocznej. W sądzie nazywają takie przypadki „sprawami pihowskimi". I one nie są wcale rzadkie, codzienna młócka sądowa, a w tej dziedzinie przeciętność wydaje mi się znacznie bardziej interesująca niż wyjątkowość.

Ale czy można pójść siedzieć za oszustwo na kwotę jeden złoty i trzydzieści groszy? Okazuje się, że można, i to całkiem słusznie. A w każdym razie można się doczekać rozprawy sądowej i wyroku skazującego na grzywnę. I karta karna oraz statystyczna człowieka wędrują do Centralnego Rejestru Skazanych w Ministerstwie Sprawiedliwości. I plama na honorze zostaje. I d... zalata — jak powiada lud polski. Za stwierdzone oszustwo na jeden złoty i trzydzieści groszy.

Państwowa Inspekcja Handlowa dostała cynk, że w tym sklepie mięsnym nierzetelnie handlują z klientem. Więc poszli ludzie PIH-u na kontrolę, a z nimi dwu kontrolerów społecznych. Jeden kontroler nabył pół kilo mięsa i drugi kontroler to samo. Zapłacili i zaczęła się kontrola. W każdej ze sprzedanych porcji brakowało po około 1 dkg mięsa, właśnie na kwotę złotych jeden i trzydzieści groszy. Na czym tu kant polegał, jeżeli kontrolujący patrzyli na wagę i wszystko niby się zgadzało?

Otóż waga była nieuregulowana i w stanie wyjściowym wskazywała 1 dkg na niekorzyść klienta. A w kasie automatycznej była nadwyżka około 30 złotych. Tyle, widać, już zdążyły „utargować" sprzedawczyni z kasjerką z okazji tylko tego 1 dkg, bo przecież on się mnoży przez liczbę kupujących.

Kasjerka stwierdziła, że ona nie wie, skąd się wzięło te 30 zł, może stąd, że przez pół godziny kasa była zepsuta i kasjerka notowała wpływy na kartce, a dopiero po zreperowaniu kasy zarejestrowała je na taśmie automatycznej i musiała tych 30 złotych przez pomyłkę nie zarejestrować. Tak się tłumaczyła kasjerka i niewiele jej można było udowodnić, więc nie ona stanęła przed sądem, aczkolwiek dziennikarz ma prawo nie wierzyć w tę legendę.

Stanęła natomiast przed sądem sprzedawczyni, która miała obowiązek regulacji wagi i tego nie dopatrzyła. Oskarżona z art. 225 § 1: „Kto przy sprzedaży towaru lub świadczeniu usług oszukuje nabywcę co do ilości, wagi, miary, gatunku, rodzaju lub ceny albo posługuje się nierzetelnym narzędziem pomiarowym, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5."

Mechanizm tego oszustwa jest prosty. Kiedy waga stoi pusta, wskazówka nie pokazuje zera, lecz 1 dkg. Ale kiedy w sklepie mięsnym waga stoi pusta, a wskazówka nie jest w ruchu? I czy klient patrzy, co pokazuje waga, kiedy stoi pusta? Klient patrzy, co pokazuje waga, kiedy na niej leży kupowane przez niego mięsiwo. Ale widocznie ktoś się w końcu zorientował, skoro był cynk do PIH-u.

Więc sprzedawczyni przed sądem, ponieważ poprzednio była już karana przez kolegium za niedoważanie klientom. I powstaje pytanie, dlaczego Miejski Handel Mięsem — mimo wyroku kolegium — trzymał ją na stanowisku materialnie odpowiedzialnym? Obrona wnosiła o umorzenie sprawy ze względu na znikome społeczne niebezpieczeństwo czynu. Ale tu wcale nie jest znikome społeczne niebezpieczeństwo czynu, a raczej jest duże niebezpieczeństwo i tak dalej. To są te wszystkie złotówki, które społeczeństwo płaci nieuczciwym sprzedawcom.

Oskarżona została skazana na zapłacenie 1000 złotych grzywny, 100 złotych opłaty sądowej i 50 zł kosztów postępowania. Sąd II instancji utrzymał ten wyrok w mocy. Ciekawy jestem tylko, czy ona nadal pracuje w handlu mięsem?

Sądzę, że to było oszustwo umyślne, aczkolwiek sprzedawczyni się tłumaczyła, iż tylko zapomniała uregulować wagę. Przy okazji się ujawniło, że sprzedawana w tym sklepie kiełbasa zwyczajna jest niedowędzona i zanieczyszczona sadzą wędzowniczą, czyli nie odpowiada wymaganiom organoleptycznym normy branżowej.

I jeszcze się przy okazji ujawniło, jakie to znakomite wymagania stawia sprzedawcom regulamin organizacyjny MHM, m. in.: „organoleptyczne badanie jakości towarów przed wydaniem kupującym", „fachowe informowanie kupujących o cenie, sposobie użycia i przydatności oferowanych towarów", „przestrzeganie higieny osobistej"...

A tak po prawdzie, to się ujawniło, iż klient, czyli samo życie, stawia bardzo niskie wymagania sprzedającym, ci zaś stawiają bardzo niskie wymagania samym sobie, a kultura naszego handlu w ogóle nierzadko bywa bardzo niska.

POM

Tańcuj macha dam ci pieróg...

Dokończenie ze str. 1

wych. Wtedy to właśnie teatrzyk stał się zespołem, czym jest do dziś. Ale chyba najżywiej serce pod serdakiem i sukmaną bije na wspomnienie Agrigento. Święto kwitnących migdałów! To Agrigento i te migdały tak weszły w menu wspomnień z dawnej (a nie minionej) świetności, zrosły się z mianem zespołu na zasadzie odruchu... serdecznego. Cóż się dziwić? Czy pierwsze miejsce na międzynarodowym festiwalu to powód do łez?

Agrigento to Sycylia, a „Ziemia Lubelska" upodobała sobie Francję. Już ma 3 „Francje" w życiorysie swoich wyjazdów zagranicznych. Orange, Marsylia, Vaison-les-Romains, Nicea. No, te, co widoczniejsze na mapie „L'Ensemble de Chant et de Danse de Lublin à' l'Hotel de Ville de Charleroi". Zespół pieśni i tańca z Lublina w ratuszu Charleroi. Tak brzmi tytuł informacji zamieszczonej 9 X 1967 w tamtejszej gazecie, a prezentującej artystyczną klasę zespołu z zaangażowaniem nie mniejszym, niżby to wynikało z patriotyzmu nie tylko lokalnego. A ZSRR, a Czechosłowacja, a Tunezja, a Belgia, a Włochy?

Nie znaczy to jednak, że „kaniorowcy" — cheesz, nie cheesz, taka nazwa sama się „używa" — wykazują zagraniczne odchylenie. Ile estrad w naszym województwie odbiło echo ich tanecznych rytmów? Jeżdżą wszędzie, tańczą wszędzie. Gdzie tylko można wywinąć oberka, rozciągnąć korowód par, „Tańcuj macha, dam ci pieróg". Tych pierogów nazbierała się już chyba dzieża.

A swoją drogą szczególne: aż takie zainteresowanie widzimy dziś dla folkloru? Nie zepchnęły wszystkiego wzmacniane elektrycznością gitary? Przecież tu potrzeba nie tylko samej skłonności do zajęcia, które praktykowane na krótką metę może posiadać smaczek atrakcyjności, ale — czegoś w rodzaju ofiarności. Zabawa zabawą, a bez roboty na tym polu nie ujedziesz.

Trzeba znaleźć niejedną godzinę poza godzinami pracy zarobkowej i nauki. Trzeba niemały zapas sił włożyć w trening, za który nie biją oklasków. A jednak zawsze znajdzie się grupa tych kilkudziesięciu osób, które chętnie garną się do tanecznego zakonu.

Przy ulicy I Armii Wojska Polskiego pod numerem 4 zawsze jakieś zapaski, basetle, pęki wstążek ładowane czy wyładowywane z samochodu.

Tak, nie można już sobie wyobrazić Ziemi Lubelskiej bez „Ziemi Lubelskiej". Specialité de la maison. My, widzowie, jesteśmy wdzięczni zespołowi za chwile tak miłej rozrywki i tak prawdziwych przeżyć artystycznych. Dwadzieścia pięć lat. To również — nasz jubileusz.

(m)

POTYCZKI JĘZYKOWE

O „pijanym widzie" i słowach robiących karierę

W „PEGAZIE", (TV) z dn. 19.V interpretator fragmentu „Rewizora" wyraził się, że „Chlestakow w pijanym widzie wspina się na szczeble biurokratycznej drabiny". Podobnego zwrotu i tak samo poważnie użył przed trzema laty w „Tygodniku Powszechnym" (nr 14) autor artykułu „Drugie dno butelki": „płodzenie dzieci w pijanym widzie" (sic!). Owszem, znamy to powiedzonko żywcem zaczerpnięte z rosyjskiego, podobnie jak i inne „na wsiakij pożarnyj słuczaj", ale mówiono wtedy żartobliwie, z uśmiechem. A w przytoczonych przykładach najzupełniej serio, jakby to były poprawne i powszechnie przyjęte lokucje.

Ale, chwała Bogu, to tylko sporadyczne kuriozum, które z pewnością nie ulegnie takiemu rozpowszechnieniu, jak wyraz „wiodący" w sensie — czołowy, wzorowy, kierujący, wyraz, którego w tym znaczeniu nie uwzględnia ani „Słownik języka polskiego" Doroszewskiego ani „Słownik frazeologiczny" Skorupki. A tymczasem dziennikarze, prelegenci, prasa, radio i telewizja karmią nas bezustannie tym rusycyzmem („wieduszczyj"), który robi karierę i gotów naprawdę przyjąć się jako wyraz całkiem poprawny.

Drugim takim wyrazem, wprawdzie pochodzenia polskiego, ale używanym nieraz w innym zastosowaniu niż dawniej, jest czasownik: „założyć" („zakładać"). Jeszcze niedawno zakładało się tylko szkołę, obóz, legowisko, rodzinę, gaz, sieci, rękawy itd. Wiech żartobliwie „zakładał mowę", ale kapelusz (na głowę) się tylko wkładało, tak samo — suknię. A dzisiaj w telewizji, radiu, ba, i w książkach beletrystycznych jakże często spotykamy się z takimi wyrażeniami: założył buty, założyła rękawiczki, założyli płaszcze itd.

Karierę robi także wyraz „miesiąc" poprzedzający jego nazwę. W wywiadach telewizyjnych, w sprawozdaniach (ile milionów osób to sobie przyswaja!) słyszymy nagminnie: „w miesiącu maju", „w miesiącu sierpniu", „w miesiącu grudniu" — zamiast po prostu: w maju, w sierpniu, w grudniu. Jeszcze dobrze, że nie odwraca się kolejności jak w języku rosyjskim: „w maju miesiącu", „w sierpniu miesiącu", „w grudniu miesiącu".

Ostatnio uważni słuchacze radia i telewizji zwrócili chyba uwagę na zupełnie błędne, nielogiczne, bezmyślne używanie spójnika „natomiast". Słyszy się to prawie w każdym „dzienniku" — prosimy sprawdzić „na własne uszy". Spójnik ten łączy zdania przeciwstawne i to dla mocnego podkreślenia tej przeciwstawności. Tymczasem panowie lektorzy (którzy nota bene czytają strasznie się śpieszą, jakby w obawie, że słuchacze im uciekną) szafują tym „natomiast" na prawo i lewo (zapominając o istnieniu jeszcze takich spójników, jak „a", „zaś" i in.) tam, gdzie występują zdania współrzędne, albo gdzie przeciwstawienie jest nieistotne, lub w ogóle nie istnieje. Na przykład (zmyślony przeze mnie, ale nadający się do ilustrowania tego, o co mi chodzi) nie można powiedzieć: „We wsi X wybuchł pożar i spalił zabudowania gospodarskie, natomiast w sąsiedniej osadzie Y okradziono sklep".

„Póki co" (prawda, Maju, jakie to ładne wyrażonko? — nr 10 „Kameny") na dzisiaj starczy.

Caius

NOWOŚCI WYDAWNICZE

FILOZOFIA

Mieczysław Michalik: Dialektyka procesów moralnych. PWN 1973 s. 333, zł 36.—
Publikacja dotyczy m. in. złożonych procesów kształtowania się moralności socjalistycznej oraz etyki marksistowskiej.

Filozoficzne problemy współczesnego chrześcijaństwa. PWN 1973 s. 274, zł 32.—
Tom zawiera wybór prac autorów zarówno katolickich jak i protestanckich, poszukujących różnych rozstrzygnięć filozoficznych.

Filozofia niemieckiego Oświecenia. PWN 1973 s. 635, zł 68.—
Antologia opracowana wg zagadnień tematycznych daje panoramiczny przegląd myśli niemieckiej epoki Oświecenia.

HISTORIA

Jan Dąbrowski: Powiązania ziem polskich z terenami wschodnimi w epoce brązu. Ossolineum 1972 s. 219, zł 70.—

Kamila Mrozowska: Komisja Edukacji Narodowej 1773—1794. PWN 1973 s. 40, zł 4.—
Przystępny wykład o działalności Komisji. Pozycja stanowi 187 tom znanej serii „Nauka dla Wszystkich".

Irena Szybiak: Szkolnictwo Komisji Edukacji Narodowej w Wielkim Księstwie Litewskim. Ossolineum 1973 s. 260, zł 30.—

Edward Stańczak: Kamera saska za czasów Augusta III. PWN 1973 s. 221, zł 28.—
Praca młodego naukowca, który studia ukończył w Lublinie, traktuje o polityce ekonomicznej czasów polskiego feudalizmu.

SOCJOLOGIA

Jakub Drozdowicz: Społeczne problemy kierowania ludźmi w zakładach pracy. Wyd. PWE 1973 s. 218, zł 16.—

Stanisław Jałowiecki: Przejście na emeryturę jako proces zmian aktywności społecznej. Ossolineum 1973 s. 105, zł 18.—

Mirosław J. Szymański: Środowiskowe uwarunkowania selekcji szkolnej. PWN 1973 s. 313, zł 30.—
Praca oparta na badaniach warunków kształcenia młodzieży wiejskiej. Autor zastanawia się m. in. nad możliwościami wyrównania startu szkolnego młodzieży ze wsi.

Halina Worach-Kardas: Nauczyciele a emerytura. Studium społeczne o ludziach w wieku produkcyjnym. PWN 1973 s. 162, zł 30.—

POWIEŚĆ BIOGRAFICZNA

Danuta Bieńkowska: Kawaler Różanego Krzyża. Wydawn. Łódzkie 1973 s. 298, zł 17.—
Drugie wydanie poczytnej powieści o Rajmundzie Rembielińskim, twórcy łódzkiego okręgu przemysłowego w okresie Królestwa Kongresowego.

Władysław Bodnicki: Między niebem a piekłem. Wydawn. Łódzkie 1973 s. 330, zł 28.—
Zbeletryzowana biografia Stanisława Wyspiańskiego dotycząca okresu lat 1897—1901 (najbardziej aktywny artystycznie czas w życiu autora „Wesela").

Stanisław Helsztyński: Przybyszewski. Wyd. 2. LSW 1973 s. 502, zł 57.—

Dionizja Wawrzykowska-Wierciochowa: Z umiłowania. Opowieść biograficzna o Wandzie z Wolskich — Umińskiej (1841—1926). Wydawn. Lubelskie 1973 s. 364, zł 40.—

Elwira Watała, Wiktor Woroszylski: Życie Sergiusza Jesienina. PIW 1973 s. 363, zł 70.—

MEDYCYNA

Kazimierz Imieliński: Życie seksualne. Psychohigiena. Wydanie 4 poprawione i uzupełnione. PZWL 1973 s. 309, zł 28.—

Jerzy Karbowski: Tęcza nad Solferino. Wyd. 2 poprawione. PZWL 1973 s. 211, zł 30.—
Przystępnie napisana historia Czerwonego Krzyża.

Śmierć i umieranie. Praca zbiorowa pod red. Leonarda Pearsona. PZWL 1973 s. 125, zł 13.—
Praca zbiorowa angielskich autorów omawia drażliwy temat w sposób prosty i bardzo ludzki — unikalna pozycja w literaturze światowej.

Maciej Wit Rzepecki: Skalpel ma dwa ostrza. Ossolineum 1973 s. 478, zł 60.—
Drugie wydanie pamiętnika znanego chirurga, który dokonywał eksperymentalnych operacji m. in. na sobie.

Jerzy Księski

Legenda w tonacji g-moll

Późny wieczór. W drobnym deszczu moknq
dachy i bure londyńskie kominy;
Zgarbiony olbrzym spogląda przez okno...

— Skrzypce do rękl! Andante... wspomnienie,
miłość, tęsknota, słodycz i znużenie...
O Izabello! Liryczna tonacjo
g-moll...
Tak... To było tak:

Sir Thomas Hampton, ojciec Izabelle
uprzejmie chłodno rzekł był: — Cóż, monsieur
Wieniawski... przykro nam. Oświadczyn
pańskich nie mogę przyjąć, niech monsieur wybaczy.

W córeczki żyłach arystokratyczna
krew płynie. Pan — cóż, kompozytor,
wirtuoz — owszem, lecz tylko artysta!
Noc. Jakże inna niż w kraju dalekim.
Czułe andante oszukuje palce
coraz gwałtowniej... Nie ma już piosenki,
są dźwięki gorzkie i bolesne nagle.

Wzburzony akord. Jeden, drugi, trzeci
mąci klarowność lirycznej zadumy.
Czymże jest sława, która przed nim leci
z kraju do kraju? Czymże są tytuły,
brawa, zaszczyty, uznanie, ordery?
Arystokratów pycha — tam! Tu, struny. Cztery.

• • •

Szybkim powozem wracały z Ostendy
Prosto na koncert Miss i Mistress Hampton;
Lecz nie wiedziała Izabella wtedy,
Że ojciec głowę schyli przed „Legendą".

Więc grał. Grał światu po raz pierwszy dzieło w tonacji g-moll „Legendą" nazwane.
Już ruszył smyczek. Rubinem błysnęło...
Gry nie opowiem. Niewypowiedziane,
nieopisanie piękne. Nikt się nie spodziewał.

Ostatnia nuta.Wieniawski grę skończył.
Cisza... Tak piękna jak ludzkie zdumienie,
cisza tak długa... dopóki dźwięk żyje.
Póki wspomnienie bliskie jeszcze wzrusza...
Instrument nadal wypełniony brzmieniem,
falami ciepła, trzyma w silnych dłoniach
przed sobą. Skrzypce Guarneriusa!!

W końcu oklaski frunęły. Jak ptaki!
Zachwyt gwałtowny... Przyniesiono kwiaty.
Wieniawski chmurny... powtarza ukłony...
Dziękuje wszystkim. Grał... dla „narzeczonej".

Sir Thomas Hampton w otoczeniu żony
i córki bladej jak po poście wielkim
zbliża się oto lekko pochylony
i mówi „— Maestro! Ład, porządek wszelki
dzisiejszy koncert w uczucia zamienił;

Dziełem tak bardzo przez miłość natchnionym.
Henri Wieniawski, może po raz pierwszy
jestem w tej chwili najszczerzej wzruszony.
Nie pragnę szczęścia innego dla córki
i oto swoim nazywam cię synem
schylając głowę przed potęgą sztuki.

Dyliżans czeka za zamglonym oknem,
a w starym kraju czekają rodzice.
Niechby ta droga wiodła nawet w ogień
pojadą. Przecież... spakowane skrzypce.

Logogryf literacki nr 13

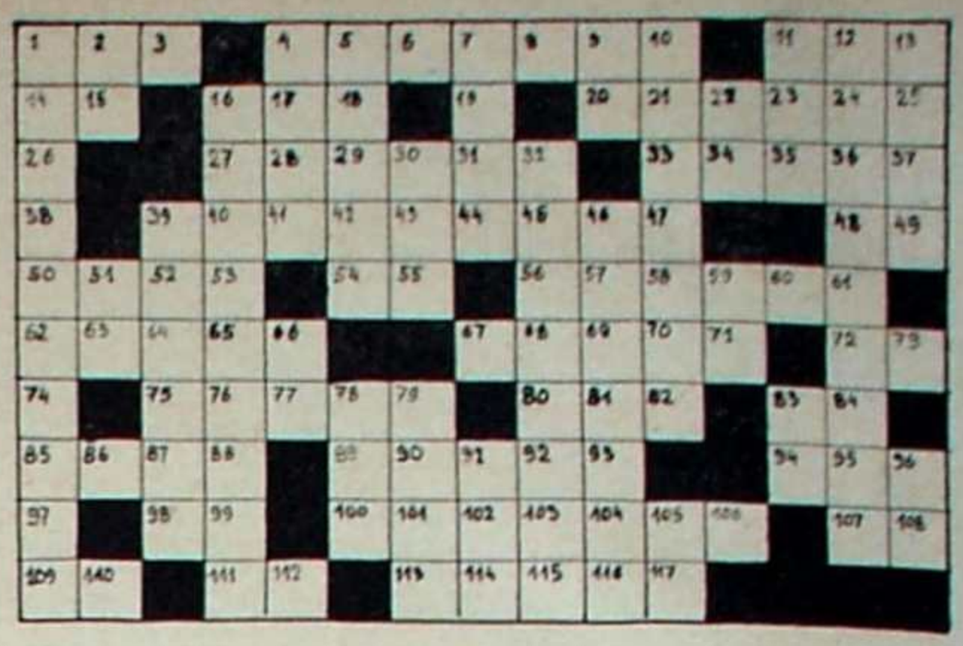

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przenieść do diagramu odpowiadające im litery. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między słowami, podwójne — przerwom między wierszami. Rozwiązaniem będzie początek wiersza polskiego poety romantycznego — uczestnika powstania listopadowego — Seweryna Goszczyńskiego.

Ziele do pierogów 30. 28. 114. 67. 103.
Powierzchowność, prezencja 75. 106. 83. 69. 61. 45.
Twardy polichlorek winylu 33. 13. 91. 72. 115. 99. 85.
Odległość 87. 77. 94. 111. 44. 29.
Bursztyn 16. 81. 1. 82. 53. 32.
Obliczenie 102. 17. 3. 49. 59. 9. 93. 70.
Podziw, olśnienie 41. 21. 35. 5. 12. 68. 101.
Bohater wielu piosenek z lat odbudowy 109. 31. 37. 95. 40. 116.
Różowe zabarwienie policzków 60. 112. 6. 34. 66. 24. 92. 42. 48.
Kościół katedralny 15. 90. 88.
Krew zwierzęcia 80. 63. 20. 30. 14.
Dobry humor 27. 31. 107. 2. 22. 71. 11. 79.
Porcja tabaki 72. 65. 23. 104. 57.
Metal do lutowania 56. 38. 113. 53.
Powieść E. Orzeszkowej 29. 103. 117. 96.
Pauza 43. 52. 54. 97. 8. 19. 78.
Część gry w tenisa 100. 74. 98.
Pogoda, powietrze 10. 84. 86. 110.
Drapieżnik łasicowaty 18. 7. 64. 108.
Sztuka Zapolskiej 62. 82. 25. 46.
Nauka i dziedzina przemysłu 4. 36. 26. 58. 76. 47.

Rozwiązanie można nadsyłać w ciągu 20 dni od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20—950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIEM SZYFROGRAMU Z NR 11 był fragment z wiersza „O sonecie" Kazimierza Przerwy-Tetmajera:

Lubię sonetu trudną, misterną budowę;
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe"

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 11 nagrody wylosowali: Wanda Fal, Lublin, Leonarda 7 m. 30, Janusz Adrianowicz, Jelenia Góra, ul. Nowowiejska 2/2, Lech Rutkowski, Bydgoszcz, ul. Hanki Sawickiej 28 (Akademia Rolnicza), Bogdan Chmiel, Tarnawatka, pow. Bychawa.

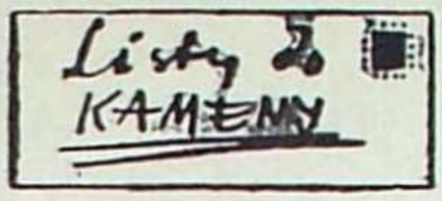

Konserwator bez sankcji?

W dalszym ciągu nie schodzi z łamów prasy i ekranów telewizji problematyka ochrony zabytków w Polsce. Wśród słusznie lamentujących głosów można dostrzec pewną prawidłowość w wyszukiwaniu winnych. Tak więc najczęściej za wszelkie zło wini się konserwatorów wojewódzkich i miejskich: brak nadzoru, opieszałość, a nawet wręcz niechęć w egzekwowaniu Ustawy z 1962 r., która umożliwia służbie konserwatorskiej wystąpienie na drogę prawną w celu ukarania ludzi czy instytucji niszczących zabytki, albo nie dbających o ich stan zachowania...

Ta nagonka trwa od lat i dziwię się, że jeszcze znajdują się ludzie, którzy przyjmują tę niewdzięczną funkcję. Prawda, ostatnio w Koszalinie, dwa razy z rzędu, obsadzono stanowisko konserwatora wojewódzkiego osobą z wykształceniem plastycznym, co wcale nie było podyktowane brakiem odpowiednich specjalistów, ale to sprawa incydentalna, albowiem z reguły lgną do konserwacji historycy sztuki, absolwenci Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu i architekci, czyli ludzie przekonani o potrzebie ochrony zabytków. Dziwię się im, ponieważ znając problem powinni uciekać przed etatem konserwatora gdzie pieprz rośnie. No bo co może zrobić konserwator w wypadku stwierdzenia nikłej troski użytkownika o powierzony mu obiekt, co może zrobić, jeśli ktoś zniszczy pamiątkową tablicę? Może skierować sprawę do prokuratora?! Może. Aby następnie usłyszeć, że z powodu nikłej szkodliwości społecznej sprawa zostaje oddalona. Tak się dzieje z reguły!

A poza tym konserwator może skreślać kolejne zabytki z rejestru bo się rozsypały nie z winy tego pana, ale z braku środków na konserwację, remonty, choćby doraźne zabezpieczenia.

Ministerstwo Kultury i Sztuki dokonało ostatnio reorganizacji ochrony zabytków w Polsce, wyodrębniając urząd Generalnego Konserwatora, którym został rzetelny znawca przedmiotu i człowiek o wielkiej energii, prof. dr A. Majewski, znany m. in. z prac przeprowadzonych na Wawelu. Koncepcja ta zyskała m. in. poparcie prof. dra St. Lorenza, wybitnego organizatora i historyka sztuki.

Nie posiadając takiej mnogiej tytulatury, ani ułamka zasług wymienionych specjalistów, ośmielam się zauważyć, że dopóki na naszym rynku nie będzie odpowiedniej ilości materiałów budowlanych, dopóki nie powstaną wytwórnie materiałów unikalnych (choćby dobrego wapna!), dopóki PKZ będą działały na zasadach normalnego przedsiębiorstwa budowlanego, dokonującego przy tym przedziwnych operacji cennikowych celem wyduszenia z kontrahentów sum najwyższych z możliwych, dopóki w oczach organów ścigania zniszczenie zabytku będzie sprawą nie warta wkroczenia w majestacie prawa — a więc dopóki te wszystkie problemy nie doczekają się rozwiązania, nie ma co oczekiwać, że jedno proste posunięcie reorganizacyjne uzdrowi sytuację. Zresztą w niektórych krajach zachodnich zmierza się dziś do łączenia służby konserwatorskiej z muzealną, wskazując na nasze (nieaktualne już) wzorce, a my zabieramy się do działań odwrotnych. To jednak złożona kwestia i być może podział ma sens, a przynajmniej będzie miał sens, jeśli muzea unowocześnią swoje programy dydaktyczne i metody prezentacji eksponatów, odróżniając się tym sposobem od lamusów, którymi są dziś w większości.

Paweł Słoma
Puławy

Podręczniki dla geniuszy

Moje dziecko uczęszcza do szóstej klasy szkoły podstawowej i z tej racji pomagam mu czasami w odrabianiu zadań domowych. Mam wyższe wykształcenie rolnicze, lecz przyznaję, że często jestem bezradny w momencie, kiedy przychodzi rozwikłać jakieś zadanie matematyczne. To nie jest problem na moje możliwości, nie mówiąc już o możliwościach dziecka. Wydaje mi się, że ludzie kierujący naszym szkolnictwem uparli się wychować polskie dzieci na geniuszy. Ale czy rzeczywiście geniusz to jest osobnik rozwiązujący całki w wieku dwunastu lat?!

W jeszcze gorszej sytuacji znajdują się moi znajomi, których dzieci uczą się w szkołach średnich. Może to i zabawny widok, kiedy cała rodzina, łącznie z dziadziem, byłym księgowym, trudzi się nad zadaniami, które jeszcze na początku lat sześćdziesiątych wchodziły w zakres studiów wyższych. Ale co to daje dziecku — poza wątpliwą z punktu widzenia pedagogiki satysfakcją z nieuctwa starszych?

Moim zdaniem współczesna szkoła niepotrzebnie usiłuje dogonić współczesne nauki przyrodnicze i matematyczne, za mało przywiązując uwagi do wyrobienia w młodym człowieku określonej postawy wobec świata, opartej na zrozumieniu podstawowych procesów, które w nim zachodzą. Lawina informacji naukowej zmusza wybitnych naukowców do posługiwania się syntetycznymi katalogami nowoczesnej wiedzy, tzw. abstraktami, które mają charakter leksykonów, a tymczasem uczeń szkoły średniej przedziera się przez grube tomiska, dowiadując się z nich o właściwościach chemicznych metanu, czy sposobach kopulacji wężów morskich. Powinno się, moim zdaniem, podawać dzieciom i młodzieży elementarną wiedzę o podstawowych procesach fizycznych i biochemicznych materii, przyprawiając to nieodzowną porcją matematyki. Dzisiejszy świat potrzebuje przede wszystkim wrażliwości moralnej ludzi, a nie znajomości topologii.

Oczywiście, mam na myśli niższe stopnie kształcenia, przede wszystkim jednak uważam, że dzisiejsze programy szkolne są zbudowane na złej i anachronicznej zasadzie, która głosiła, że ten mądrzejszy i lepiej przygotowany do życia, kto zna więcej faktów. Osobiście cenię bardziej umiejętność sensownego kojarzenia i interpretacji wybranych, ważnych faktów, podsuwanych przez naukę i życie codzienne.

Adam Włodkowski
Lublin

„Zza Cukrowni raport sentymentalny"

Do zabrania głosu sprowokował mnie felieton Marii Brzezińskiej „Zza Cukrowni raport sentymentalny", zamieszczony w 11 numerze. Autorka w swym pełnym filuternej przekory felietonie, zawierającym wiele uwag i refleksji słusznych, napisała jednocześnie m. in. „Rzekę uregulowali, a stary, ohydny, poniemiecki barak, w którym mieściła się „podstawówka" nr 17, zaczęto rozbierać i szybko budować „tysiąclatkę". I dalej: „Jakże zazdrościłam kolegom, którzy uczyli się po mnie".

Co do zazdrości, to nie będę się wypowiadał, chociaż ja również uczęszczałem do tej szkoły „nie-tysiąclatki". Ale ja należę jeszcze do tego pokolenia, które potrafiło się cieszyć samą możliwością wiedzy, bez względu na warunki. Te warunki nie były zresztą takie straszne i szkoła nie mieściła się wcale w ohydnym, poniemieckim baraku, bo w 1938 roku nie było jeszcze Niemców w Polsce, a właśnie wtedy oddano do użytku nową, wprawdzie drewnianą i parterową szkołę, ale z dużymi, słonecznymi klasami, z salą widowiskową, kuchnią i pomieszczeniem na dożywianie dzieci; co więcej, nawet z warsztatami stolarskimi i ślusarskimi, przeznaczonymi do nauki zajęć praktycznych.

Jak więc widzimy, na owe czasy była to szkoła spełniająca wszelkie warunki nowoczesnego kształcenia dzieci. I dlatego jesteśmy dumni z tej szkoły, a jeszcze bardziej dumni jesteśmy z naszych ówczesnych pedagogów. Kierownikiem szkoły była wówczas pani Werewska, ciesząca się ogromnym autorytetem i szacunkiem nie tylko grona pedagogicznego i naszych rodziców, ale również całej szkolnej młodzieży. To właśnie pani Werewska, po wkroczeniu Niemców, przez całą okupację przechowywała we własnym mieszkaniu sztandar naszej szkoły. Po wyzwoleniu pierwsza stanęła do pracy, żeby dalej kierować, a właściwie od nowa organizować oświatę i szkolnictwo w tej robotniczej, zapomnianej dzielnicy.

Z nauczycieli wykładających w tej szkole przed wojną pamiętam jeszcze panią Żarnowską, wychowawczynię mojej klasy — panią Lewandowską, pana Wilka, który już w pierwszych miesiącach okupacji został zabrany ze szkoły w czasie lekcji przez niemieckich żandarmów za pracę w organizacji podziemnej. Pan Wilk nigdy już do nas nie wrócił.

Chcę dać świadectwo prawdzie, że nasi ówcześni wychowawcy własnym życiem udokumentowali, że to, co nam wpajali — umiłowanie wolności i własnej ojczyzny — warte jest najwyższej ofiary życia.

Prawda, znalazł się również nauczyciel, który w najcięższych dla całego narodu chwilach, jakimi była straszna i długa noc okupacyjna, wyrzekł się tego wszystkiego, czym żył dotychczas i przyjął Volkslistę, korzystając z niemieckiego nazwiska. Był to, o ile sobie dobrze przypominam, nauczyciel geografii. Ale to był tylko niechlubny wyjątek.

Powracając do zasadniczego tematu wyjaśniam, że w czasie okupacji Niemcy zajęli naszą szkołę, przeznaczając ją na obóz przejściowy dla ludzi złapanych w łapankach ulicznych, a skazanych na wywiezienie do przymusowej pracy w Rzeszy. Ponieważ dotychczasowy budynek szkolny okazał się zbyt mały, żeby spełniać swoją nową rolę, Niemcy obok dobudowali ów ohydny barak, o którym zapewne pisze Maria Brzezińska. Na pewno autorka ma rację, że szkoła ta nie była ani tak duża, ani murowana, ani tak nowoczesna, jak obecna „tysiąclatka", ale istotne jest, że była to już szkoła zbudowana naszymi własnymi siłami, jeszcze przed wojną, a nie żadne widmo-barak poniemiecki. Dla nas zaś, byłych uczniów, pozostanie i tak najpiękniejsza, a nasi wychowawcy — najlepszymi wychowawcami na świecie. I wielu z moich starszych kolegów, podobnie jak nasi wychowawcy, zadokumentowało swój patriotyzm w czasie okupacji i w pierwszych latach po wyzwoleniu.

Lek. med. Adam Niezgoda
Lublin

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI I ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał: JAN PIECZYKOLAN

Adres redakcji:
20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1540. 13.VI.73. 14.107. G-4.

falsetem

Butelki i gole

A WIĘC Legia zdobyła Puchar Polski, a już — omal, omal — nie potknęła się w Lublinie. Nie warto dziś wnikać, „co by było, gdyby", bo przed poznańskim finałem Lublinianka musiałaby się jeszcze dwukrotnie zmierzyć z bydgoskim Zawiszą, a gdyby nawet z tą drużyną zwyciężyła, miałaby nie lada orzech do zgryzienia: Polonia Bytom nie należy do najłatwiejszych przeciwników. Rewelacyjna wrocławska PKS Odra, która wyeliminowała Górnika, dostała od Polonii dwukrotne baty, te drugie — tym bardziej dotkliwe — bo na własnym boisku, na oczach tysięcy kibiców. Nie pomógł więc doping, wygrała drużyna mocniejsza, bardziej dojrzała psychicznie i lepiej wyszkolona technicznie. To samo z kolei nastąpiło w Poznaniu, gdy naprzeciwko siebie stanęły Legia i Polonia. 120 minut gry nie przyniosło rozstrzygnięcia, musiały zadecydować rzuty karne. Z kolei zawodnicy Polonii nie wytrzymali nerwowo i Puchar Polski powędrował do Warszawy.

Na stadionie Warty w Poznaniu nie było nadmiaru kibiców. Wcześniejsza zapowiedź telewizyjnej transmisji musiała wpłynąć na frekwencję. Niemniej zwolennicy Legii przez cały czas meczu dopingowali swoją drużynę — w dogrywce ów doping był już nieustanny. Ciekawe, ile butelek po czystej wyborowej znaleziono pod ławkami? Kronika filmowa pokazała nam, że na meczu Polska — Anglia kibice nie próżnowali. Interesujące, gdyby jeszcze można obliczyć, o ile tego dnia wzrosły obroty w lokalach gastronomicznych? Do wypicia każda okazja jest dobra, a co tu mówić o t a k i e j właśnie! Dwa do zera z Anglią! Tego jeszcze nie było jak Chorzów Chorzowem...

Ale na święcenie laurów ciągle za wcześnie. Paszport do Monachium czeka na dalsze podpisy. Kolejnym będzie zwycięstwo z Walią, a ostatnim — remis z Anglią. Ładnie to się mówi: zwycięstwo z Walią, remis z Anglią. Chcielibyśmy zapomnieć, że Chorzów otworzył szansę nie tylko przed drużyną polską, ale i drużyną walijską, której wcale nie wolno nam lekceważyć. A jeśli nawet wygramy, czeka polską reprezentację niezwykle trudny pojedynek z jedenastką Alfa Ramseya, która będzie chciała ze wszystkich sił zrewanżować się za porażkę z Polską i z Włochami, za remis z Czechosłowacją. Wprawdzie te dwa ostatnie mecze były tylko meczami towarzyskimi, niemniej miały one swoje znaczenie. Włochy musiały aż 48 lat czekać na pokonanie Anglików. Ponieważ przedtem udało im się zwyciężyć drużynę brazylijską, która z kolei pokonała 16 czerwca NRF (1:0), euforia osiągnęła szczyty. „Włoscy piłkarze kandydatami na mistrza świata". Koniec brytyjskiej ery w piłce nożnej" — te tytuły włoskiej prasy najlepiej charakteryzują nastroje rzymskie.

My jesteśmy znacznie skromniejsi, naszym marzeniem jest znaleźć się w gronie szesnastki finalistów w Monachium. W ten sposób jeszcze raz udowodnilibyśmy, że złoty medal olimpijski zdobyliśmy nie po jednosezonowym zrywie, że z polską piłką nożną należy się liczyć. Piszę „jeszcze raz", bo chorzowskie zwycięstwo ma swoją wymowę...

Trener Górski nie stawia tylko na rutynę, ale patrzy na aktualną formę zawodników wybierając do reprezentacji tych piłkarzy, którzy w danej chwili są najlepsi. Trener Ramsey jest bardziej konserwatywny, na niego działa magia nazwiska, dawne zasługi. Ale i on może się czegoś nauczyć od Górskiego i wówczas w czasie rewanżu będziemy mieli do czynienia z zupełnie inną drużyną...

Jest jednak faktem, że gdyby kilka lat temu okazało się po losowaniu, że przyjdzie nam o paszport na mistrzostwa świata w Monachium w 1974 r. walczyć z reprezentacjami Anglii i Walii, polscy kibice z góry machnęliby ręką narzekając na przysłowiowy pech. Teraz, po zdobyciu złotego medalu olimpijskiego przez drużynę trenera Górskiego, liczyliśmy na łatwe zwycięstwo z Walią. Przegraliśmy i to ostudziło nasze ambicje. Ale i Anglicy, którzy dokładnie ów mecz obserwowali, przyjechali do Chorzowa po punkty i bardzo się denerwowali, gdy nie tylko nie wywieźli skromnego jednego punktu, ale jeszcze musieli zostawić dwa. Bo w piłce nożnej nigdy nie ma żadnych pewniaków i na tym polega jej urok.

Szczęście, że mamy w Anglii sporo rodaków, którzy zapewne przyjdą na mecz. Nie zapominajmy jednak, że alkohol nad Tamizą jest droższy niż nad Wisłą, a poza tym trzeba go kupować za dewizy. Stąd doping będzie mniej chrapliwy.

Gdy jednak wejdziemy do grona najlepszej szesnastki... Strach pomyśleć, co się będzie działo u nas. Zabraknie chyba i zwykłego sikacza...

MAJ

minuta myślenia

Gli-gli

MÓJ kolega redakcyjny, którego odpowiedzi młodym adeptom pióra drukują się piętro niżej, chodzi jak struty. Gdy go spytałem o powód, zalał się strugami łez i omal nie dostał ataku ślepej kiszki. Już trzymałem rękę na tarczy aparatu telefonicznego chcąc nakręcić numer pogotowia, kiedy rzecz się wyjaśniła: jedna z jego odpowiedzi nie podobała się pani Barbarze Szymkowskiej z Lublina i „Żywocikowi Literackiemu" z Krakowa. Nieszczęsny!

Postanowiłem jednak rzecz zbadać u źródła i przeczytałem ową odpowiedź. Kolega pisze, że młoda poetka miewa wiersze nierówne, że pomieszane są tam zwroty ciekawe z banalnymi, na skutek czego wiersz przypomina sinusoidę. W sinusoidzie wiadomo: linia z góry spada w dół, po czym wspina się do góry. Zakończył słowami: „Zrezygnować z partii „dolnych" i spróbować utrzymać wiersz na jego najlepszych osiągnięciach". Można to było wyrazić posługując się stylistyką i terminologią najnłodszej krytyki literackiej, to znaczy opinię pookręcać takimi zawijasami, że niczego nie dałoby się przeczytać. I to się chyba nie podobało „Żywocikowi", bo sformułowanie wziął na kiel swojego „dowcipu". Co wzbudziło jego chichotki? Przymiotnik „dolny"? No cóż, jest taki w języku polskim, ale trzeba bardzo jednostronnie nastawionej wyobraźni, by mieć jednostronne skojarzenia.

Poddajmy mu w takim razie do radości: na ostatniej karcie powieści figuruje zazwyczaj napis „koniec", w podręczniku historii można natknąć się na rozdział „okres monarchii absolutnej", codzienna prasa przynosi komunikaty o ustaleniu dobrosąsiedzkich stosunków między państwami. Hi-hi-hi, prawda, jaki śmieszne?

Nawet przy „słońce zaszło" możemy spytać, z kim miało tę przyjemność i w którym miesiącu się znajduje?

Bo „krytycyzm" (szczególnie kiedy co tydzień do rubryki trzeba wynaleźć błędy) jest bardzo rozciągliwy. Oto np. w tym samym numerze (numerze? — nowy powód do uciechy) „Żywocika" pod pręgierz idzie sformułowanie Kazimierza Kani z „Kierunków": „Siedzi w nich na pewno inna dusza niż w nas". Mowa o cudzoziemcach. Przemieszek: my moglibyśmy się zgodzić, ale co na to Watykan?

Przypuszczalnie odpowiedziałby, że co innego dusza jako kategoria ontologiczna w fideistycznym światopoglądzie, a co innego — jako zespół norm obyczajowości. I jeśli już „Żywocik" podejrzewa autora o wzięcie wyrazu w pierwszym jego znaczeniu, dlaczego godzi się, że ta dusza może siedzieć?

Dobrze by również było, by „Żywocik" od czasu do czasu przejrzał swoje własne szpalty. Pod datą 15 kwietnia znalazłby tam curiosum ironii. Mianowicie „Przekrój" podał krótką notatkę o pewnym kompozytorze kończąc ją słowami, że żył 66 lat. Rzeczywiście, notatka nie zawiera wystarczającej informacji, ale pytanie „Żywocika" wyobrażacie sobie jak brzmi? Brzmi: „A w jakim to roku życia umarł rzeczony kompozytor? What is the question". W którym roku życia umarł ktoś, kto żył 66 lat. Brawo. Szkoda, że mój kolega redakcyjny nie wyciął tego z „Żywocika" i do „Żywocika" nie posłał. Bon książkowy murowany.

No a weźmy trochę z „Poczty literackiej" drukowanej w tym samym piśmie. Ot, z wymienionej już daty 15 kwietnia: „Ale trzeba sobie ufać, nie ma — by tak rzec — innego wyjścia". Albo: „A co jest celem (twórczości — dop. Ijon)? Tego nikt dokładnie nie wie. Panu miałbym ochotę powiedzieć: szukanie tego, co nas łączy z innymi ludźmi". „Żywocik" tu nie zareagował, bo widocznie jest nastawiony przede wszystkim na sformułowania budzące skojarzenia anatomiczne, ale jeśli zastosujemy jego „wnikliwość", będziemy tak samo triumfujący. Na przykład: ja nie jestem ja? ja to ktoś, kto musi u mnie wkradać się w zaufanie? Dalej: nikt nie wie, co to jest twórczość, a tylko jeden redaktor od „Poczty literackiej" wie i na ucho zdradza Andrzejowi S. z Jeleniej Góry?

Oczywiście — nie będziemy pytali, bo wiemy, w jakiej intencji, w jakiej aurze, w jakim zajęciu owe zdania zostały wypowiedziane. Podrzucić coś do przemyślenia młodemu autorowi. Nie werdykt, nie kompletna w motywacjach i w sformułowaniach opinia literacka — rozmowa. Tak też rozumie swoją rolę mój kolega od „Odpowiedzi redakcji" w „Kamenie". Ale przyczepić się? Wyrwać coś z kontekstu, kontekstu szerzej pojętego, bo obejmującego więcej, niż jeden akapit? To tak łatwo, jak zredagować „zgryźliwy" komentarz posługując się trawestacją krytykowanego zwrotu, co jest praktyką polemiczną od tak dawna stosowaną, że tylko każdorazowego „odkrywcę" ta monotonia olśniewa.

Ale dowcip „Żywocika" bywa niekiedy bardzo celny. Przy niektórych kawałkach uśmiałem się jak suseł.

Ijon

Odpowiedzi redakcji

S. G. Tarnawatka. Nie można za dużo opisywać. Wiersz nie jest opisem, a nawet w prozie istnieje zawsze niebezpieczeństwo popadnięcia w gadulstwo. „Najmniej słów" — wzywał Julian Przyboś. Znaczy: używać tylko tych, które są konieczne, nadmiar osłabia wymowę. Oczywiście, nie można tego rozumieć w sensie arytmetycznym. Czasem nawet powtórzenie jest realizacją wskazania, o którym mówił autor „Równania serca". Ale nie myślę, by jego praktyka poetycka mogła być dla Pana wzorem odpowiednim do naśladowania. Raczej — zachęcamy do lektury jego wynurzeń teoretycznych.

M. P. Zamość. Chce Pan stosować prawidła nauk ścisłych do poetyckiego rzemiosła. Chlubny zamiar i w Pana przypadku całkowicie zrozumiały, skoro pasjonuje Pana elektronika. Poszukiwać nowych możliwości w słowie jest zawsze rzeczą poezji. Ale przede wszystkim utwór musi sam się tłumaczyć. Nie może Pan do każdego użytego przez siebie zwrotu dodawać odsyłacza informującego, jak go należy rozumieć. Zwrot poetycki to układ słów zrozumiałych „same przez się" niezależnie od drogi, którą autor do danego sposobu wypowiadania się doszedł.

P. R. Goraj. Opis przyrody to jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw młodego poety. Nie znaczy, że przyrody nie należy opisywać. Ale często bywa ona wykrętem przed samym sobą. Kiedy nie wie się, co napisać we własnym imieniu, o sobie, zawsze nadarzy się jakieś piękno natury, które przedstawia się w terminach zużytych nawet przez mowę codzienną. Rzeczywiście liść szeleści, strumyk szemrze, łąka jest pokryta runem zieleni. Tylko to wszystko od dawna już znajduje się w pudełku z napisem „kanał".

S. M. Storzek Łukowski. Ma Pan zadatki na prozaika. Miniatury i fragmenty posiadają coś, co nie pozwala zbyć ich machnięciem ręki. Ale utwór literacki zawsze powinien zawierać jakąś filozofię autora. Powinno się dać odczytać w jakim celu został napisany i jakiej sprawie służy. Inaczej zostanie lepiej lub gorzej ujętym wypracowaniem, a więc czymś, czego myśl przewodnia została ustalona przez kogoś innego. Nie czuje się, że to właśnie Pan chciał napisać. Czuje się, że sobie Pan to „wybrał" poszukując tematu.

R. B. Kielce. Owszem, we współczesnej krytyce literackiej pojawiają się głosy zniesienia rebusowatości dzisiejszego wiersza, ale nie bardzo wiadomo, czy jest to przyjęcie nowej pozy, czy wyraz rzeczywistego przekonania, bo praktyka poetycka wcale na nie nie reaguje. W każdym razie powrót do którejś z poetyk minionych jest dziś niemożliwy, jak niemożliwy był nigdy. Nie rokujemy powodzenia metodzie odczekania. Swój czas uprawiać — to zadanie w poezji zawsze aktualne.

B. T. Lublin. Nie chcemy Pana urazić, ale w utworach Pańskich nie znaleźliśmy niczego poza poprawnością. „Średnia przeciętna" dzisiejszej produkcji poetyckiej. Nawet dałoby się wydrukować, ale w jakim celu? Brak błędów to jeszcze nie wystarczający powód. Błędy nawet niechby były, ale jako cena zamierzeń, prób, ryzyka. Radzimy trochę więcej śmiałości. „Poezja to zamach na wszystko". Bez próby zamachu nie będzie zmiany w państwie Pańskiej frazeologii, metaforyki, stylistyki.

G. C. Tomaszów Lubelski. Reportaż jest dziś nawet uprzywilejowanym dziecięciem literatury. Dzisiejszy człowiek jest wyczulony na fakt, rzecz, autentyk. Ale to nie znaczy, że wystarczy sprawozdanie. Jak dla realizmu nie wystarcza fotografia. Dopiero to, co z rzeczywistości przedmiotowej przefiltrowywuje się przez ludzkie doznania — jest interesujące. Można nawet dodać: literacko prawdziwe. Dlatego nie znaczy, że zamierza Pan sobie obrać łatwiejsze, a owocniejsze zajęcie. Może okazać się żadne. Ani jedno ani drugie nie jest związane z gatunkiem literackim. A przed łatwizną proponujemy ucieczkę jak najdalej, gdyż łatwizna się nie opłaca. Jest tylko stratą czasu.

M. L. Włodawa. Satyra to bardzo trudny rodzaj. Nawet nie wiadomo, dlaczego nie cieszy się zbyt wielkim poważaniem u profesjonalistów pióra. Ale to ostatnie wcale nie zwalnia od wymagań satyrze stawianych: celność, oryginalność, niespodziewana pointa. Pan tego nie przestrzega, a nawet za satyrę uważa zwykły wyraz oburzenia przeciw nieprawidłowościom. „I znów się spóźnił autobus". Jeśli tak na papierze krzykniemy, wcale nie wykażemy, że mamy cięte pióro. Tu trzeba ośmieszyć. To czasem celniejsze, niż argument.

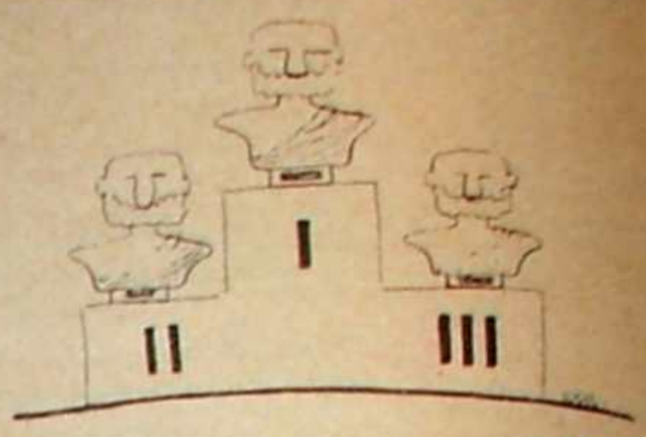

Rys. A. Stok

Rys. L. Szalecki

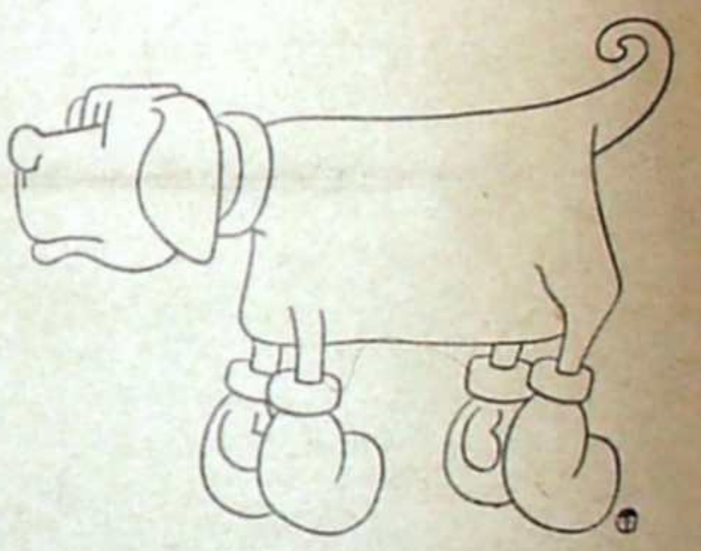

Rys. W. Fuglewicz

Waleria Sulima

smak miłości i łez

KONKURS RESTAURACJI

W poprzednim odcinku naszej powieści (drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante") zostawiliśmy Ninę i Roberta w „Europie" i przenieśliśmy się do Krakowa, gdzie doszło do nieoczekiwanego spotkania Basi, Mariusza i Zuzanny. Ta ostatnia była w towarzystwie młodzieńca o bardzo bujnej czuprynie. Ponieważ spotkanie nastąpiło w restauracji, zatłoczonej o tej porze, Basia poprosiła gości do swego stolika. Czyżby odegrała to rolę jedynie grzeczność? Czytajmy dalej...

(18)

Zuzanna nadal wahała się, ale jej towarzysz pociągnął ją za rękę.

— To ładnie z pani strony — powiedział. — Teraz są godziny szczytu i trudno gdziekolwiek się dopchać. Ale, jak widzę, Zuzanna nawet w Krakowie spotka znajomych. To się nazywa mieć szczęście!

Wymienili uściski dłoni i zajęli miejsca przy stoliku. Kudłaty młodzieniec, który przy przedstawianiu się wymienił imię „Bolek", podał Zuzannie kartę. Zaczęła ją przeglądać, ale zupełnie nie była w stanie się skupić. Ostatecznie zdała się na gust Bolka.

— Państwo spotkali się przypadkowo? — indagowała Basia. — Bo musi pan wiedzieć, że wczoraj byliśmy razem w Katowicach...

— Domyślam się. Zuzanna mówiła mi... Widzi pani ja jestem bratem jej przyjaciółki. Serdecznej przyjaciółki z dawnych lat — dodał. — Ale moja siostra wyjechała, więc spełniam rolę gospodarza.

Zuzanna zdecydowała się przechwycić inicjatywę. Obawiała się dalszych pytań Barbary, bo Bolek wcale nie był zorientowany w sytuacji i lada moment mógł palnąć, że dopiero dzisiaj przyjechała ona z Katowic. A to mogłoby naprowadzić rozmowę na niebezpieczne tory.

— Okazuje się — powiedziała — że świat jest bardzo mały. Zdecydowałam się odwiedzić po drodze Kraków, ale miałam pecha, bo Zosia, znaczy się siostra Bolka, wyjechała do rodziny i wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Połaziłam trochę po sklepach, kupiłam kilka drobiazgów. Proszę zobaczyć, jak się pani podoba — zwróciła się do Barbary — ten lajkonik?

Tymczasem Mariusz wdał się w zdawkową rozmowę z Bolkiem. Myślał jednak zupełnie o czym innym. Kiedy zobaczył Zuzannę w jego towarzystwie, zdenerwował się. Nie, to nie była zazdrość! Po prostu czuł się oszukany przez Zuzannę. Przed wyjazdem z Katowic stwierdziła, że jedzie do swej serdecznej przyjaciółki, a tu serdeczna przyjaciółka przybrała postać męską. Gdy rzecz się wyjaśniła, poczuł ulgę. Zuzanna nie kłamała. Tej dziewczynie można było ufać. Z kolei Barbara przeżywała teraz to spotkanie z goryczą. Wydawało się jej, że Zuzanna wpadła, że pogrążyła się w oczach Mariusza. Niestety, prawda brzmiała przekonywająco. Trudno było się Barbarze z tym pogodzić, więc próbowała dalej:

— Tak, rzeczywiście ładny ten lajkonik. A pani z panem Bolkiem długo się znają?

— Bardzo długo. Od dzieciństwa. Mieszkaliśmy w sąsiedztwie. To dawne czasy.

— Ale spotykacie się czasami?

— Rzadko. Ostatni raz widzieliśmy się rok temu. Bolek żeni się za miesiąc. Będzie okazja jeszcze raz przyjechać do Krakowa.

Basia zorientowała się, że zupełnie przegrała. Była teraz wściekła, że zaprosiła Zuzannę z tym całym Bolkiem do stolika. W ten sposób popsuła sobie całe popołudnie. No bo jak teraz odczepić się od tej pary?

— Wraca pani dzisiaj? — zapytała z cichą nadzieją, że otrzyma negatywną odpowiedź.

— Tak, przed wieczorem jest pociąg pospieszny. A państwo również wracają?

— Oczywiście — oświadczył Mariusz. Ale nie znał Barbary. Ta zagrała ostatnią kartę i postawiła Mariusza przed faktem dokonanym.

— Tylko, że nieco później. My też mamy w Krakowie przyjaciół, których chcemy odwiedzić. Zostaniemy do późnego wieczora. Musimy szybko kończyć obiad, bo się spóźnimy na spotkanie. Pośpieszmy się, Mariuszu.

Gdy znaleźli się sami na ulicy, pozostawiwszy Zuzannę z Bolkiem w restauracji, Basia powiedziała:

— Nie będzie mnie robiła w konia ta cnota Zuzanna. Co? Myślała, że będziemy razem siedzieć? Niedoczekanie jej!

— Basiu, co się z tobą dzieje?

— Nic. Po prostu kocham ciebie i jestem bardzo zaborcza. Nie mogę wprost na nią patrzeć — teraz już nie panowała nad sobą.

Mariusz starał się ją uspokoić.

— No to co? Idziemy do tych twoich przyjaciół?

— Głupiaś jesteś. Ja tu nikogo przecież nie znam. Ale musiałam coś wykombinować.

— Co więc robimy?

— Proponuję poudłóczyć się po mieście. Ale przedtem postawisz mi lody...

* * *

— Może lody na deser? — zaproponował Robert. Ninie, kiedy zjedli już drugie danie. — Jak byłam mały, to przepadałem za lodami.

(cdn)